

# DZIS' i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 2 czerwca 1946 r.

Nr. 21 (27)

### Z Prymasowskiej Stolicy

(wyjątki z listów Pasterskich Prymasa Polski, J. Em. Augusta Kardynała Hlonda)

„Jak Kościół katolicki nie jest fragmentem religijnym w historii świata, lecz jej najpotężniejszym nurtem duchowym, tak i w dziejach Polski nie jest epizodem, któryby można kiedykolwiek zlikwidować. Kościół katolicki jest duszą Polski, atmosferą jej życia, ostoją jej ducha. Żadna moc nie skreśli Kościoła katolickiego z przyszłych dziejów naszych. Ale żywotność jego od nas zależy. Historią są dawne zasługi i zdobycze. Nie chcemy żyć wspomnieniami! Zyjmy teraz, żyjemy! Zdobycie polską dla Chrystusa! Krzepiące technienie apostołskie niech powieje przez kraj cały, coraz ofiarniej niech szafuje swym kapłańskim trudem duchowi polskiemu, które zdecydowanie wchodzi na drogę maksymalnych programów duszpasterskich. A laik polski, który tak entuzjastycznie podjął hasło apostołstwa świeckiego, niechże swą rycerską służbę Chrystusowi pełni na każdym odcinku polskiego życia. Niech się w kuźnię ducha Chrystusowego zamieni każda chata wieśniacza, każdy dom robotniczy, każda kamienica, każde biuro, każda instytucja, każdy zakład, każda szkoła“.

(„Z życia Kościoła Chrystusowego“).

„Zarzucają Kościołowi, że zawiódł i omylił nadzieje współczesnego świata, bo nie zrozumiał i nie podbił jego ducha, nie poszedł z postępem“.

Są w tym twierdzeniu pewne okruczności prawdy, ale zasadniczo jest ono mylne. Czemu nie zdobył jeszcze Kościół nowych czasów? Czy może żywotność jego zmniejsza się wskutek sklerozy wieków? Czy na jego arteriach duchowych zaciążyły osady czasów? Czy naprawdę Kościół nie jest życiem, lecz muzeum czcigodnych tradycji? Przenigdy! Kościół nie żyje dziejową siłą bezwładu, nie zjada spadku Chrystusowego, nie wyczerpuje swych energii wychowawczych. Moc zdobywczą zachował. Nowe czasy zastały Kościół przy wyzwalaniu się z następstw długiego ucisku. Wychodził z katakumb dziewiętnastego wieku, gdy nad światem zerwały się burze rewolucji. A w tym samym czasie spryskiwały się przeciw niemu niebawie moce fałszu i konspiracji, którym na tym zależy, by we współczesnych odmętach pogrozić chrześcijaństwu. Ale i tym czasem sprosta Kościół, choć nie zaraz. Opanował arianizm i odrodzenie. Odbudował się na gruzach rewolucji francuskiej. Już trafia do duszy naszych zagadkowych czasów“.

(„Z życia Kościoła Chrystusowego“).



J. EMINENCJA KS. KARDYNAŁ DR. AUGUST HLOND.  
ZYGMUNT KAMIREKI - 1946

„W gigantycznych walkach z anarchią, przewrotem i zwyrodnieniem nie znajdują Państwa lepszego i potężniejszego sprzymierzeńca, jak Kościół, który jest jedynym realnym pierwiastkiem Bożym w świecie. Za swobodę, za spokój, za życzliwość odpłaci się Kościół każdemu Państwu wartościami bez miary, bo w jego posłannictwie złożona jest tajemnica zwycięstwa nad złem. „Zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest wiara nasza“ (Jan 5, 4).

(„Z życia Kościoła Chrystusowego“).

„Poza bezbożnictwem największą potwornością naszych stosunków jest wyniesienie nienawiści do hasła, zasady, obowiązku. Trafiły się zawsze wypadki nienawistnego nastawienia i nienawistnych czynów. Dzisiaj atoli przeżywamy okres gloryfikacji, kanonizacji nienawiści. Nienawiść rozsądza społeczeństwa. Wyziębia świat“.

U nas rozpanoszyła się nienawiść głównie w życiu publicznym. Kto z innego obozu, a zwłaszcza kto politycznym przeciwnikiem, tego uważa się naogół za wroga. Nie uznaje się w nim nic dobrego, żadnych zalet, żadnych zasług. Przeciwnik musi być zły. Do niego stosuje się

bez skrupułu kłamstwo, podejrzenie, oszczerstwo. W swoim obozie wszystko się toleruje, u przeciwników niemal wszystko się potępia. Wyklucza się nawet możliwość zgody i współpracy“.

(„O katolickie zasady moralne“).

„Przy rozplywaniu się autorytetów, nawet religijnych, tylko katolicyzm zachował pełną świadomość swego powołania. Wszyscy inni poczynili już ustępstwa na rzecz naturalizmu, zdają neopogaństwu obronne okopy wiary i obyczajów i idą w służbę tego, co modne, łatwe, władne i popłatne. Na szancon pozostaw katolicyzm. Na nim spoczął cały ciężar obrony prawa przyrodzonego, przyrodzonych praw jednostki i rodziny. Czy poza nim broni jeszcze kto świętości i nierozzerwalności małżeństwa? Czy oprócz niego odgradza ktokolwiek niezłomną barierą moralną życie prywatne i publiczne od barbarzyństwa? Tylko katolicyzm dźwiga jeszcze ludy na wyżyny zasad bożych, których do słabostek i przelotnych zachcianek czasu nie obniża“.

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

„Myślenie jest zapatrywanie, jakoby zadaniem Kościoła było cofać dzisiejszą chwilę do minionych form, do wczorajszych nastrojów, do rozmarzonego romantyzmu, do baroku, do bujnego średniowiecza. Nie jest bowiem rzeczą Kościoła powstrzymywać pochód ludzkości. Nie o to dbać powinien, by epoki świata były do siebie podobne pod względem układu stosunków społecznych i państwowych, lecz o to, by każda epoka żyła duchem, Chrystusowym. Nie poręcza Kościół ustrojów publicznych, nie przywraca przeszłych form życiowych, nie tworzy nowych. Powołaniem jego jest podawać wszystkim czasom zasady przyrodzonego i objawionego prawa bożego, na którym wspierać się powinna struktura społeczeństw“.

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

„Nie bierze więc Kościół udziału w technicznej przebudowie społeczeństw, w przeobrażeniach politycznych, w walkach o władzę. Nie wdaje się ani w treść, ani w tok doczesnych waśni i nieporozumień, które różnią społeczeństwa i narody. Jedyny spór i to spór wielki, odwieczny, jaki prowadzi, to spór o Boga, Jego naukę i prawo, o wiarę, o sumienie i o swobodę swego działania. Inne walki ziemskie stara się łagodzić, ale się w nie wciągać nie pozwala, wywierając jednak pośrednio zbawczy wpływ nawet na niespokojne życie państwowe przez to, że wszystkim przypomina prawo boże, obowiązujące również w zakresie spraw publicznych“.

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

„Za wiele jest w pewnych kołach katolickich nastawienia na obronę, a za mało zrozumienia zdobywczych zadań Kościoła. Skoro wywrót i bezbożnictwo coraz śmiej uderzają w chrześcijaństwo, musi być i obrona, i to obrona zwartą, dostojną, mocną w dowodach, którymi walczy, potężna pierwotnym duchem ewangelicznym. Ale obrona to nie wszystko. Nie wystarczy zaślaniać się i ciosy odbijać. Kościół ma odnieść i ustalić „zwycięstwo, które zwycięża świat“ (I. Jan 5, 4), a to zwycięstwo osiągnie tylko walną ofensywą na całym froncie katolickim“.

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

„Wśród powszechnego kryzysu religijnego i moralnego zwraca na siebie uwagę Kościół Katolicki nie tyle tym, że przed-

Dm159105

stawia najliczniejsze w świecie wyznanie, ile głównie dlatego, że stanowi jedyną współczesną potęgę moralną, rosnącą w autorytet i wpływy. Wokoło niego odbywa się apokaliptyczna reduta religijności, podrywanej przez bezbożnictwo, wolnomyślicielstwo, teozofię, astrologię, kabałę, rasizm. Odgrzebuje się przedchrześcijańskie bożyszcza, politykę zamienia się w objawienia, państwa kłęją nowe religie, dyktatury pozują na bóstwa. Bałwochwalstwo staje się ideałem narodowym, a tytuł poganina wywiera nakazujące wrażenie. Ale czym więcej naokoło gaśnie światła religijnych, tym jaśniej jest w wielkim katolickim tumie.

(„Z życia Kościoła Chrystusowego“).

Jan Dobraczyński

„O co walczy i co zwalcza Kościół, jeżeli walką nazwać mamy jego działalność? Walczy o to, o co walczył Zbawiciel. Zwalcza to, co Zbawiciel zwalczał. Walczy o cześć Boga, o bóstwo Chrystusa, o Objawienie, o całość Odkupienia, o Królestwo Boże na ziemi. Walczy — i to z jakim wysiłkiem i z jakim przelovem krwi męczeńskiej — z bezbożnictwem i pogaństwem nowoczesnym. Walczy z laicyzmem i wolnomyślicielstwem. Walczy z materializmem, teozofią i anarchią religijną. Zwalcza grzech, potworność, zwyrodnienie. Walczy ze zgnaną etyką państwową i społeczną.“

(„Z życia Kościoła Chrystusowego“)

„Budzi się w katolicyzmie zapał ofensywy, ale go jeszcze mało. Zesztywnieliś-

my w twardej defensywie ostatniego półtorawieczu. Przyzwyczailiśmy się do nie-twórczej służby w okopach, przy czym i duch nieco przygasł, osłabła inicjatywa, ściętniły się widnokreśli. Trzeba nam przeszkolenia własnych sił. Trzeba pod niejednym względem zmienić pogląd na cele i na sposoby pracy, a przede wszystkim duch stężeć powinien. W łonie katolicyzmu przeprowadzić należy krucjatę życia wewnętrznego. Tu czeka nas najważniejsza praca, którą przeprowadzić trzeba bez zwłoki i miękkości, ale i bez drażliwości i niepokoju“.

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

„Pójdziemy z Chrystusem w naród i jego życie. Pójdziemy na pracę, na niewy-

godę, na nieprzyjemności i upokorzenia, na ofiary i poświęcenia. Pójdziemy na czyn osobisty, ukryty, nieznan. Pójdziemy na wspólne, wielkie, skoordynowane działanie.“

Najwyższą zasadą będzie nam miłość Boga i narodu, prawdy i błądzących. Komunizm święta będzie nam codziennym „chlebem mocnych“. Modlitwa będzie nam wytchnieniem. Cierpienie radością. Niebo zapłata.

Nie spoczniemy, aż Bóg zapanuje w życiu narodu. Nie dopuścimy do wygnania Chrystusa z Polski.

„Zostań z nami“ (Łuk. 24, 29), Chryste, „na wieki“!

(„O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem“).

## Zakonnik i żołnierz

Pisaliśmy już kilkakrotnie: katolicyzm znajduje się obecnie w Polsce w położeniu pomyślnym — bo trudnym. Naturalnie nie chodzi o prześladowania, których nie ma. Nie chodzi o jakieś represje administracyjne, których nie widzimy. Zresztą — gdyby takie represje były, gdyby nawet za przeciwną katolicyzmowi ideologią, szły prześladowania, to i wówczas katolicyzm nie znajdował by się — jak powiedzieliśmy w położeniu trudnym. W ciągu dwóch wieków chrześcijaństwa było wiele prześladowań. Kościół katolicki nigdy się jednak prześladowań nie lękał. Przeciwnie — dni prześladowań — aż po okrucieństwa niemieckie były zawsze dniami wielkich zwycięstw katolicyzmu. Katolicyzm prześladowań się nie boi. Ma na nie broń zawsze zwycięską — katakumby. Zwycięstwo katakumb! Jeżeli jednak mówimy, że katolicyzm żyje w epoce dla siebie trudnej to dlatego, że nadeszły dni, kiedy pęd narastania problemów i przemian społecznych nabrął niebywałej siły, zmuszając wszystkie ideologie do stawienia rzeczywistości czoła.

W gruncie rzeczy można by stwierdzić, że katolicyzm „konkurencji“ także się nie boi. Na „długiej fali“ dziejowej katolicyzm i jego doktryna społeczna zawsze zwyciężają. Obok tej jednak „długiej fali“ istnieje „fala krótka“. Na przestrzeni kilku czy kilkunastu lat może się u obserwatora z zewnątrz wytworzyć przekonanie, że katolicka myśl społeczna jest w arriere-gardzie, a może nawet w odwrocie. I wtedy nie katolicyzm, ale katolicy stają w położeniu trudnym, bo muszą szybko dostosować się do sytuacji nie pozwalającej na obniżenie powagi Prawdy. Katolicyzm swoją własną siłą — siłą Łaski — zwyciężał na „długiej fali“ zawsze. Tę siłę jednak nie zawsze można zobaczyć na „krótkiej fali“, inaczej jak poprzez wysiłek ludzki. Działanie Łaski bywa tajemnicze: raz się ona uwiadamia, że aż trzeba być ślepy, aby jej blasku nie zobaczyć, drugi raz kryje się. Kryje się — za człowieka. I wtedy czło-wiekowi nie wolno czekać. Katolikowi wobec rzeczywistości nie wolno stać z założonymi rękoma — i czekać! Jest bezsensowne chcieć katolicyzm osadzić w jakiejś jednej epoce, w jakimś raz już przeżytych momentach dziejów. Średniowiecze było piękne, ale do średniowiecza nie wrócimy. Kontreformacja była bujną, ale to już jest przeszłość. Wiecznością katolicyzmu jest jego zdolność tworzenia swych własnych form w każdej nowej epoce. Wiecznością katolicyzmu na odcinku społecznym jest to, że stanowi idealne „narzędzie“ postępu, ale narzędzie w rękę człowieka. Bez przerwy pada nad światem deszcz Łaski, lecz aby jego skutków zaznać, trzeba zwinąć zasłonę egoizmu. Tak samo katolicka myśl społeczna zna odpowiedź na każdą trudność nowej epoki. Lecz po tę odpowiedź trzeba przyjść — trzeba wrócić. Mocno powiada x. H. Edmond: „Nul homme ne devient un saint pendant qu'il dort“.

Aktywność katolika, wynikająca konsekwentnie z nadprzyrodzonej religii katolickiej, potrzebna jest zawsze, ale bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest w epoce trudnej. Na lata „tłuszczej“ wystarczy aktywność zwykła, typ psychiczny codzienny, byle nie podsypiający nie skłonny do próżniactwa. Ale w la-

tach „chudych“ aktywność katolików musi przybrać właściwe formy. Wtedy powinien powstać specjalny typ psychiczny, łączący w sobie dwa pierwiastki, dwie właściwości, dwa charaktery: zakonnika i żołnierza.

Jeżeli mówimy: żołnierza, to nie myślimy wyłącznie o żołnierzu walki orężnej. Nie zapominajmy jednak, że Kościół tu na ziemi jest i będzie aż do końca Kościołem Wojującym. Lubimy często o tym zapominać, lubimy się już czuć w szeregach Kościoła Tryumfującego, lubimy skarżyć się i narzekać, że jeszcze nam trzeba o katolicyzm walczyć! Tymczasem taki jest tutaj nasz los. Na ziemi katolicyzm nigdy nie wygra zupełnie. Walka nie ustanie nigdy. A gdyby ustała, to raczej należało by się lękać, że jest to dzień klęski.

O katolicyzm trzeba walczyć i o katolicyzm musimy walczyć, bowiem jest mocą, której obejść się nie da. O katolicyzm walczył polemicista Augustyn, żongler słowa, a potem biskup i zakonnik. O katolicyzm walczył Tomasz z Aquino, Dominik z Calarozą i Franciszek Bernardone — każdy z nich zawzięty żołnierzko w pewnych granicach. Katolik także

swej sprawy i zakonnik. Żołnierzem i zakonnikiem byli Ignacy de Loyola czy Piotr Skarga Pawełski. Trzy epoki największego rozkwitu chrześcijaństwa: epoka ojców Kościoła, średniowiecze i barok dały właśnie ten typ człowieka łączący cechy: żołnierza i zakonnika.

Dzisiejsza epoka ma pewne podobieństwo do tamtych epok, choć jednocześnie, powtarzamy to ciągle, jest epoką całkowicie nową. Inne są wymogi naszego wieku. Jeżeli jednak są one inne, to przecież typ psychiczny, jakiego dzień dzisiejszy potrzebuje, jest typem również zakonnika i żołnierza.

Dlaczego zakonnika i żołnierza? Dlatego, że gdy przychodzi chwila wielkiego napięcia energii w świecie, na życiu katolickim nie może ciążyć i o wszystkim decydować jedna tylko grupa katolików, choćby należąca do świętego stanu. Niech moje słowa nie będą potraktowane jako naiwny antyklerykalizm. Katolik musi wiedzieć, że kapłan, jako rozdawca Sakramentów i nauczyciel spraw wiary, w pierwszej swej funkcji nie może być przez nikogo zastąpiony, w drugiej tyl-

winien czuć, że obie te, tak zasadnicze funkcje uzasadniają jak najszerszy udział kleru w życiu narodu i państwa. Hasło „księża do Kościoła“ — jest hasłem obawy przed wylewaniem się sily katolicyzmu w życie społeczne. Ale intensywność udziału księży w życiu społecznym nie może w żadnym wypadku umniejszać intensywności świeckich w społecznej pracy katolickiej, a taka zależność nie jest, niestety, czymś rzadkim. Katolicy świeccy często zbyt pochopnie robią miejsce duchowieństwu i jeszcze to uważają za swoją zasługę. Przeważnie jest to zasługa ucieczki od wysiłku. Często księża uważają, że muszą być tam, gdzie wystarczy tylko katolik znający się na rzeczy. W czasach niskiego napięcia ta „ustępliwość“ świeckich i ta „ambicja“ duchownych nie odgrywa wielkiej roli. Kiedy jednak przychodzi dni wielkich napięć, wymagające największego oddania się sprawie przez wszystkich, wtedy nie może być żadnej „ustępliwości“, bo zadania każdego na jego własnym terenie i tak się ledwo dadzą wykonać. Dyscyplina i organizacja muszą być tam, gdzie chodzi o wysiłek największy. Dyscypliną i organizacją stanu kapłańskiego są zakony, dyscypliną i organizacją świeckich — postawa żołnierska.

Mówimy o tych sprawach nie ot tak sobie, w braku innego tematu, ale w poczuciu, że chwila, którą przeżywamy — wielka przemiana struktury Kościoła w Polsce — bo tak trzeba nazwać ingres Prymasa Polski na Metropolię Warszawską — wydaje się nam zapowiedzią zmian, zmierzających ku zintensyfikowaniu a jednocześnie ku większemu zdyscyplinowaniu i zorganizowaniu wysiłków katolicyzmu. Sytuacja tego wymaga. Wedle słów Gonzaga de Reynold: „Kościół zasłużył na Reformacji, ponieważ w Kościele zarysował się rozkład — rozkład między Instytucją a myślą, której miał być wyrazem. Kościół przywiązywał zbyt wiele znaczenia do swej misji czysto ludzkiej, ze szkodą dla myśli chrześcijańskiej i moralności chrześcijańskiej i mimo ostrzeżeń ze wszystkich stron — przede wszystkim ze strony świętych — nie podejmował reform, które były wymogiem ówczesnej epoki — Lecz reformy, o które walczyła Reformacja były to reformy życia Kościoła. Reformy, o które walczą wiek 19 i 20 są to reformy życia społecznego, na które Kościół może mieć wpływ tylko pośredni. Od pięćdziesięciu lat z górą mamy encyklikę „Rerum novarum“, a mimo to stosunkowo niewielkie są zdobycze chrześcijańskiej myśli społecznej. Płynię to stąd, że Kościół mógł przeprowadzić swoją reformę, ale nie przeprowadzi reform społecznych bez współdziałania wszystkich wiernych. Encykliki nie wystarczą, jeśli nie będą realizowane, wcielane w życie. Nauczanie z dala od nurtu życia, na życie wpływu mieć nie może. Gdyby chrześcijaństwo pozostało w Jeruzalem nie byłoby chrześcijaństwa. Musiało nastąpić przeniesienie ośrodka do Rzymu, ponieważ przez Rzym płynął nurt ówczesnego świata. Złączenie prymasostwa z Metropolią Warszawską w swojej skali ma ten sam charakter: Kościół zbliża się do nurtu życia. Ten, kto reprezentuje w Kościele w

### Joanna d' Arc

#### Z niesporów na dzień Jej święta — 30 maja

Oto Joanna, dziewica prosta i pobożna, bowiem lękająca się Boga, o której nikt nigdy nie powiedział nic złego.

Wezwał ją Pan, i ubrała się — dziewozyna wiejska — w zbroję Bożą, by przewalczyć podstępny nieprzyjaciół.

Stanęła, opasawszy się w prawdę, z pancerzem sprawiedliwości; wzięta hełm i tarczę zbawienia.

Podniosła rękę ku narodom i poniosła sztandar Pański do ludu, by zmusić wroga do ucieczki.

Jej Anioł był z nią zawsze, strzegł jej w boju i nie opuścił jej pośród płomieni.

Przełoż umyśliłem sobie, by ją przywieźć na życie wspólne

wierząc, że się ze mną porozumiewać będzie w rzeczach dobrych i będzie rozmowa myśli i tęsknicy mojej.

Dla niej będę miał stawę u ludu

i cześć u starych jako młodzieniec“.

(Mędr. 8, 9—10)

Oto ona, uprawiająca w pocie czoła swój mały ogródek.

Dziewczynka lat trzynastu niczego nieswiadoma poza modlitwą codzienną — lecz nad towarzyski swe pobożna, prosta, słodka i niewinna.

Gdy się modliła mówił do niej sam Michał Archanioł.

Także dwie dziewice, godne siebie w wielkości i w cnocie, odwiedzały ją często.

Usłyszawszy głosy niebieskie, przestraszyła się bardzo, ale umocniona ufnością w Bogu usłuchała wezwań, które mówiły, by stała się dobrowolnie ofiarą czystą za Ojczyznę.

Opuściła swe towarzyski i dom rodzinny.

Odeszła od ojca i od matki.

Na wezwanie anielskie stała się żołnierzem Bożym.

Poczęła walczyć bez lęku.

Chwała Ojcu, który stworzył świat.

Chwała Synowi, który odkupił grzechy ludzkie.

Chwała Duchowi Świętemu, który czyni dusze mocnymi i pobożnymi.

Oto Joanna, Dziewica Orleańska, ta, która się modli wiele za swój lud i cały naród francuski...

**Oratio:** O Boże, któryś w cudowny sposób powołał błogosławioną Joannę na obronę wiary i narodu, spraw, prosimy Cię o to, aby za jej przyczyną Twój Kościół przewyciężył wszystkie zakusy wrogów i dostąpił wreszcie wiecznego pokoju. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

(Tłum. J. D.)

Polsce naczelną więź organizacyjną zjeżdża do stolicy państwa. Przenosi swoją kwaterę w centrum ruchu, bo choć Poznań imponuje inicjatywą, Kraków kulturą i Łódź — pracą, to przecież Warszawa — dwa razy w ciągu jednej wojny palona, ta Warszawa ruin i spoczywających pod ruinami ciał — ta Warszawa, w której, jak mówią złośliwi, na trzech ludzi trzech jest chorych na gruźlicę, zaś na jedną izbę przypada 9 mieszkańców — przecież ta Warszawa jest jednak naprawdę nie tylko z formy stolicą Polski i centrum polskiego życia. Tutaj aż z samego dna ruin wyrasta nowe życie.

To jest chyba pierwsza myśl, jaka obudzić musi ingres warszawski. W chwili takiej jak obecna Kościół nie może tkwić na peryferiach. Zresztą Warszawa, złączona z Gniezmem staje się także punktem wypadowym. Minęły czasy rzadkich zjazdów, rzadkich spotkań. Dziś i to jest charakterystyczne dla epoki, potrzeba częstych wyjazdów w teren, osobistego docierania do wszystkich ośrodków katolickiego życia, ciągłego ruchu i ciągłego działania. Epoka jest trudna. Epoka jest nawet bardzo trudna, ale właśnie dlatego, że jest trudna — jest pomyślna. Nie wtedy bowiem można coś osiągnąć, gdy fala życia płynie, a my z oddalenia filozoficznie jej się przyglądamy. Wtedy jeste-

śmy blisko naszych możliwości, gdy fala życia idzie wprost na nas i gdy my sami wychodzimy na wprost niej. Powiedzą: słowa... Nie tylko. Któż z nas nie lęka się najtrudniejszych chwil swego życia? Życie bowiem na codzień nie jest wcale łatwe i proste, a najmniej prostym wydaje się wtedy, kiedy jest zwykłym „łatwym żywotem“. Dopiero w obliczu spraw wielkich, przekraczających miarę życia, życie nabiera własnych proporcji. Jest wtedy i proste i łatwe jak śmierć na barykadzie.

W dniu 30 maja, w dniu święta Wniebowstąpienia, a zarazem w dniu święta jednej z najbardziej zachwycających świętych — świętej Joanny d'Arc — świat katolicki wita Prymasa Polski obejmującego władzę w Metropolii warszawskiej. Zmieniają się czasy — na szczęście. Dwadzieścia lat temu uroczystość taka była by może tylko uroczystością duchowieństwa, zakonów, organizacji przykościelnych. Dziś sprawa urasta do jednego z najpoważniejszych zagadnień chwili i ingres zamienia się na uroczystość wszystkich katolików. Oto jeden z przejawów pomyślności, jaką rodzą czasy trudne. Obudziła się powszechna świadomość, że Kościół to nie tylko miejsce kultu, organizacja duchowieństwa, ale to przede wszystkim związek organiczny wszystkich wiernych, wszystkich ochrz-

czonych, zaś głową tego związku — Chrystus. Ta świadomość rośnie w siłę. I gdy władze kościelne zbierają się do głównego ośrodka życia narodu, naród, społeczeństwo wychodzą im na przeciw, manifestując postawą swą przynależność do kościoła. Witając swego Metropolite, społeczeństwo warszawskie wita w nim najwyższego przedstawiciela Organizacji Kościelnej w Polsce, do której to organizacji samo przynależy. Zapomnijmy bowiem o opowiadaniach, że „Kościół to tylko kler“. Kościół to wszyscy katolicy.

„Dziś i Jutro“ pismo grupy ludzi pochodzących z rozmaitych ośrodków, lecz złączonych wspólną wolą odszukania katolickiej postawy społecznej dla dnia dzisiejszego, wita także nowego Metropolite. Wita Go tym serdeczniej i radośniej, że widzi w Nim nie tylko najwyższą władzę Kościoła w Polsce, ale także Człowieka, który swą energią, powagą i siłą głoszonych zasad nauczył, że: „nakazem dla polskiego życia kościelnego jest: skończyć z katolicyzmem słabym, liberalnym, dancingowym, grzesznym, niezgodnym z etyką katolicką... św. Jan Bosko wołał, umieniając: pracy! pracy! pracy! W polskim życiu kościelnym przetłumaczmy ten apostolski wydzwięk zdobywczej duszy na bohaterstwo aktywności“.

Jan Dobraczyński

Marcin Bielawa

## Legatus natus

Mianowanie przez Stolicę Apostolską Ks. Prymasa Hłonda arcybiskupem-metropolitą warszawskim, a zarazem potwierdzenie przysługującej mu jako arcybiskupowi gnieźnieńskiemu godności „legata urodzonego“ (legatus natus), stanowi w historii Kościoła Polskiego nadzwyczaj wielkiej wagi i znaczenia nawrót do najświetniejszych tradycji Kościoła Polskiego, a zarazem podwalinę dalszej rozbudowy jego znaczenia zarówno w skali światowej jak i w wewnętrznym życiu Polski.

Przez złączenie dwóch godności arcybiskupa gnieźnieńskiego i warszawskiego, zlikwidowane zostało powstałe po rozbiarach Polski nieporozumienie, wynikające stąd, że w czasie niewoli istniały na ziemiach polskich dwa prymasostwa: jedno właściwe, związane z godnością arcybiskupa gnieźnieńskiego, żadnym aktem prawnym nie zniesione, oraz drugie, ustanowione po kongresie wiedeńskim dla Królestwa Polskiego z siedzibą w Warszawie, stolicy króla polskiego, będącego zarazem carem Wszechrosji. Ten anormalny stan utrzymał się siłą faktów i bezsilną inicjatywą w tym względzie w ciągu dwudziestu lat odnowionej niepodległości państwa polskiego, aż do wybuchu drugiej wojny światowej, zlikwidowany zaś został obecnie ku chwale Polski i instytucji Prymasa, pierwszego w dawnych wiekach po królu dostojnika państwowego, a obecnie w połączeniu z godnością „legata urodzonego“, naczelnego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej w Polsce.

Godność „legata urodzonego“ datuje się w Polsce z początkiem wieku XIII, choć i przedtem arcybiskupi gnieźnieńscy, jako metropolici, posiadali wielkie znaczenie, mieli główny udział w obiorze innych polskich biskupów, a kiedy to prawo przeszło na kapituły, to nowowybranych biskupów potwierdzali i wyświęcali. Niekiedy nawet odmawiali potwierdzenia. I tak: arcybiskup Marcin (r. 1118) potwierdził biskupa płockiego Gozdawę bez odwoływania się do Rzymu; arcybiskup Jan czyli Janik (r. 1167) zatwierdził biskupów Stefana, Radwana i Bernarda, obejmujących kolejno swój urząd w Poznaniu; Piotr III (1184) potwierdził biskupa krakowskiego Gedeona i płockiego Lupusa; arcyb. Jarosław (r. 1376) odmówił potwierdzenia na biskupstwo płockie Bernardowi penitencjarzuszowi papieża Jana III, a udzielił swego potwierdzenia mianowanemu przez króla Kazimierza Wielkiego Jarosławowi.

Władzę tę wykonywali arcybiskupi gnieźnieńscy do czasu rządów papieża Bonifacego VIII (1296—1303), który sam zaczął zatwierdzać biskupów w Polsce. Ważnym symbolem władzy arcybiskupów gnieźnieńskich było i to, że wszyscy biskupi diecezjalni obowiązani byli udawać

się corocznie do metropolitalnego kościoła w Gnieźnie dla oddania czci patronowi Polski św. Wojciechowi.

Arcybiskup gnieźnieński Kietlicz Henryk (r. 1219) otrzymał od papieża Inocencja III tytuł legata Stolicy Apostolskiej, lecz wyłącznie dla swej osoby. Papież Grzegorz III pozwolił w r. 1238 arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Fulkonowi czyli Pełce, by w całej prowincji krzyż przed nim noszono, z wyjątkiem takiego czasu, gdy był obecny legat papieski, przysłany z Rzymu. W statucie Kazimie-

rza Wielkiego znajduje się wzmianka, że arcybiskup gnieźnieński Jarosław Rogorza, jako metropolita i prymas, zwie- dzał diecezję krakowską.

Arcybiskupi gnieźnieńscy, jako prymasi i metropolici, byli już za Bolesława Chrobrego obdarzeni wielu przywilejami. Oni honorowali w zastępstwie papieża królów polskich, oni zwoływali synody, mające wielkie znaczenie nie tylko dla Kościoła Polskiego, ale i dla społecznego życia w Polsce, oni nakładali kary na biskupów, którzy zaniedbywali zwoły-

## Wniebowstąpienie Pańskie

Czterdzieści dni po swoim Zmartwychwstaniu Chrystus w obecności kilku apostołów wstąpił do nieba. „Obłok wzięty go z oczu ich“ mówią Dzieje Apostolskie. A gdy pilnie patrzyli za unoszącym się Jezusem, stanęli przy nich dwaj mężowie w białym odzieniu i spytały: „Mężowie galilejscy, czemu stoicie patrząc w niebo?“

Dziwnym może wydać się to pytanie aniołów, w chwili, kiedy apostołowie całym sercem złączeni są z Chrystusem i trudno myśleć im o innych sprawach, jak tylko o tej jednej: że Pan ich odszedł do Ojca, że nie będzie już chodził wśród nich jak dawniej.

W pytaniu aniołów brzmi napomnienie uzupełnione dalszymi słowami: „Ten Jezus, który wzięty został od was do nieba, tak przyjdzie, jak widzieliście Go do nieba idącego“. Nie ma więc czasu do tracenia: Chrystus odszedł — i przyjdzie, a między tymi dwoma faktami pozostaje okres, który trzeba wypełnić pracą dla Jego chwały. Plan tej pracy mają wyrazić: zawarty jest w całym życiu i we wszystkich naukach Mistrza.

„Czemu stoicie, patrząc w niebo?“ Są momenty, w których dobrze jest usłyszeć to pytanie. Kiedy trzeba otrząsnąć się z zapatrzenia w obłoki, spojrzeć na ziemię jasnym, trzeźwym wzrokiem i zobaczyć co można na niej uczynić dla Chrystusa.

„Będziecie mi świadkami aż do krańców ziemi“. To rozkaz Zbawiciela, wypowiedziany w chwili wstępowania do nieba; dźwięczy on jeszcze w uszach apostołów, schodzących powrotną drogą z góry Oliwnej ku nizinom. Te słowa zwrócone są do nas wszystkich, trzeba je wziąć poważnie, nie puszczając ich mimo uszu. Skoro raz jesteśmy wyznawcami Chrystusa, musimy być Jego świadkami, musimy stać przy Nim i umieć ważyć mężnie, z otwartą przyłbicą o Jego obecność w naszym życiu prywatnym i w życiu całej Polski.

Liturgia okresu wielkanocnego podaje nam codziennie powtarzający się refren z

listu św. Pawła do Kolossan: „Jeśliście więc współpowstawali z Chrystusem, co w górze jest szukajcie... i co w górze jest miłujcie“.

W połączeniu z pytaniem, które przynosi nam święto Wniebowstąpienia, to zdanie wygląda na paradoks. Jak mamy to rozumieć: „Czemu stoicie, patrząc w niebo?“ i „Szukajcie, co jest w górze?“

Wołanie św. Pawła i jego patrzeć w górę nie oznacza tego samego co „życie w chmurach“ i szukanie za czynną urojenym. Miłość tego co w górze, życie życiem nadprzyrodzonym, jest koniecznością dla każdego. To nie specjalność księży i zakonnic, ale prawo i obowiązek nas wszystkich. To nie jakaś skomplikowana magia, dostępna tylko wybranym, to chleb powszedni, radosny i mocny pokarm, przeznaczony każdemu człowiekowi.

Życie nadprzyrodzone jest prostożym z Chrystusem, robieniem wszystkiego przez Niego, dla Niego i z Nim.

Chodzi więc o to, by stojąc mocnymi nogami na ziemi, biorąc żywy udział w ruchu politycznym i społecznym, interesując się wszystkimi przejawami życia i otaczającej nas rzeczywistości, nie tracić z oczu innej, równie prawdziwej rzeczywistości — do której dążymy.

Niech szukanie tego co w górze, nie będzie bezproduktywnym zapatrzeniem się w obłoki; niech będzie twórczą miłością, która wszystko ożywia.

„Czemu stoicie, patrząc w niebo?“ To postawa bierna, którą musimy porzucić, schodząc na ziemię i jak apostołowie w dniu Wniebowstąpienia Chrystusa rozpoczynając głoszenie Jego słowa, Jego nauki i etyki.

Jesteśmy złożeni z duszy i z ciała. Nie możemy więc żyć tylko jednym z tych elementów. Dlatego nie stójmy, „patrząc w niebo“, ale żyjmy trzeźwo na ziemi, „miłując co jest w górze“.

Katarzyna Woźniakowska

wania synodów. Mieli poza tym prawo bicia własnej monety, a przywilej ten dla Jakóba Świnki zatwierdził Przemysław (1284).

Wielkie było znaczenie Kościoła w pierwszych wiekach istnienia polskiej państwowości. Poza sprawami wiary i moralności chrześcijańskiej utwierdzał on i szerzył kulturę w pełnym tego słowa znaczeniu, a przewodniczący Kościoła w osobach arcybiskupów gnieźnieńskich starali się zawsze utwierdzać polskość. Ważne m. in. w tym względzie jest polecenie synodu, odbytego w Łęczycy w roku 1285, zwołanego przez arcyb. gnieźnieńskiego Jakóba Świnkę, by duchowieństwo tłumaczyło po polsku w każdą niedzielę modlitwę pańską; skład apostolski i pozdrowienie anielskie, a rozdział VI uchwał tego synodu postanawia, żeby tylko rodowity Polak, znający dobrze język swego kraju, mógł posiadać beneficjum, t. j. być proboszczem oraz żeby dla zachowania czystości języka polskiego tacy tylko mogli być rektorami szkół przy kościołach katedralnych i konwentualnych, którzy znając dobrze język polski, będą mogli tłumaczyć autorów łacińskich uczniom w języku ojczystym, wreszcie żeby zakonnicy, którzy nie chcą przyjmować Polaków do zgromadzenia, przekładając nad nich cudzoziemców, byli do tego przez biskupa diecezjalnego zmuszeni.

Z inicjatywy przełożonego gnieźnieńskiego duchowieństwa polskie oceniło język ojczysty od wpływu niemieckiego, jaki w wieku XIII Polsce zagrażał w okresie imigracji kolonistów niemieckich, czego potwierdzeniem będą ustawy arcybiskupa gnieźnieńskiego Fulkona, wydane na synodzie w r. 1244, w których zastrzeżono, by wszyscy rządcy i plebanowie w Polsce prowadzili szkoły za zezwoleniem biskupa ustanowione i żeby nie angażowali do nich nauczycieli Niemców, a gdy ich brak, to tylko takich, którzy wykazą biegłość w języku polskim. Wiadocznie trzeba było powtórzyć to zastrzeżenie, skoro statut synodalny z roku 1313 postanawia, by dla ochrony i rozkrzewienia języka polskiego przy kościołach katedralnych i zakonnych takich tylko do bierano nauczycieli, którzy dobrze znają język polski, a synod umiejowski z roku 1340 postanowienie to nawet pod karami kościelnymi ponowił.

Co do samych synodów dodać należy, że ich uchwały dotyczyły nie tylko spraw kościelnych i religijnych, ale głęboko wkraczały w ówczesne życie społeczne, że brali w nich udział również dygnitarze świeccy, że w chwili rozbitcia Polski na księstwa dzielnicowe po śmierci Bolesława Krzywoustego i możliwości rozczłonkowania jej i przyłączenia poszczególnych dzielnic do królestwa czeskiego, do Brandemburgii, a nawet do Rusi i Litwy, władza arcybiskupa gnieźnieńskiego była po niektóre lata, a nawet dziesiątki lat jedyną centralą, utrzymującą jedność terytorialną, duchową i poniekąd polityczną Polski. Dla przykładu podam, że:

W obradach synodu w Łęczycy w roku 1180 wzięli udział: Kazimierz Sprawiedliwy oraz inni książęta, jak Bolesław śląski, Leszek mazowiecki i Otton poznański, a z duchowieństwa oprócz arcybiskupa poznańskiego Piotra III, biskup krakowski Gedeon, biskup wrocławski Zyrosław, biskup poznański Arnold, płocki Wrtus, lubuski (Lubusza, stolica Ziemi Lubuskiej, leży na lewym brzegu Odry) Gaudenty i biskup kamiński Konrad.

W obradach trzeciego z rzędu synodu, zarządzanego w roku 1200 przez arcyb. gnieźnieńskiego Henryka Kietlicza, wzięli udział: Leszek książę krakowski, książę mazowiecki Konrad, kaliski Władysław i opolski Kazimierz, a spośród biskupów oprócz arcyb. Kietlicza, biskup krakowski Wincenty Kadłubek, płocki Gedeon, poznański Paweł, wrocławski Wawrzyniec, wrocławski Barta czyli Grzegorz i lubuski Wawrzyniec. Na synodzie tym postanowiono surowymi karami okładać duchownych nie przestrzegających celibatu, którego zachowanie polecił duchowieństwu polskiemu synody, odbyte w roku 1197 w Krakowie i Lubuszy.

Na synodzie prowincjonalnym w Toruniu w r. 1244 oprócz legata papieskiego Wilhelma, biskupa Modeny, znajdowali się: arcybiskup poznański Fulko oraz biskupi: wrocławski, kujawski i płocki oraz wielu dygnitarzy polskich i krzyżackich.

W synodzie, odbytym we Wrocławiu w r. 1248, prócz arcybiskupa poznańskiego Fulki, wzięli udział: biskup krakowski Prandota, poznański Boguła, wrocławski Tomasz, płocki Andrzej, lubuski Nankier i chełmiński Henryk.

Znaczenie arcybiskupa gnieźnieńskiego, zarazem prymasa Polski, wzrosło niepomniernie, gdy z tą godnością złączyła się na zawsze godność „legata urodzonego“ (legatus natus), czyli zastępcy, względnie pełnomocnika Papieża i Stolicy Apostolskiej na całą Polskę. Godność i urząd ten przydane bowiem zostały arcybisk. Henrykowi Kietliczowi, o czym wyżej, przez papieża Inocentego III (1219), tylko ad personam, a arcybiskupowi Fulkonowi, czyli Pełce, nadana (w r. 1238) doręczyła z prawem noszenia przed nim krzyża w całej jego prowincji wtedy, gdy nie był w niej obecny legat papieski. Dopiero arcybiskup gnieźnieński i prymas Jan Łąski otrzymał na concilium laterańskim w roku 1515 — za panowania króla Zygmunta I — tytuł „legatus natus“ nie tylko dla siebie, lecz i dla wszystkich swoich następców, co stanowi bulla papieża Leona X (1513—1522), w której czytamy:

„Zważywszy, że w całym królestwie polskim jeden jest tylko kościół metropolitalny gnieźnieński, któremu wszystkie inne kościoły rzeczonoego królestwa podlegają, prawem metropolitalnym, a nawet i kościół metropolitalny lwowski prawem prymasowskim; zważywszy następnie, że czcigodny brat nasz Jan Łąski, terazniejszy arcybiskup gnieźnieński, nie tylko miał władzę jako metropolita i prymas, ale także jako legat, a przy tym chcąc więcej świetności temu jego urzędowi nadać w całym królestwie polskim, w którym tak królowie, jak i mieszkańcy zawsze są wiernymi i przychylnymi Stolicy Apostolskiej; zważywszy nakoniec, że tak w królestwie angielskim jak i w Niemczech niektórzy arcybiskupi mieli sobie nadawane tytuły legatów ciągłych przez naszych poprzedników, przeto i my dla podwyższenia wiary katolickiej, na usilne żądanie w Chrystusie syna Zygmunta króla polskiego, wymienionemu Janowi Łąskiemu, obecnie do nas i do świętego concilium laterańskiego od rzeczonoego króla przybytemu, jak również i jego następcom nadajemy tytuł legati nati ze wszystkimi honorami, godnościami i przywilejami, jakich inni legaci, a zwłaszcza arcybiskupi kantuarzyjscy używają“.

Jurysdykcja arcybiskupów gnieźnieńskich, jako legatów Stolicy Apostolskiej i jako prymasów Polski, rozciągała się nie tylko na całe królestwo polskie łącznie z w. księstwem litewskim i na arcybiskupstwo metropolitalne lwowskie, ale również na pozostające poza granicami Polski arcybiskupstwo wrocławskie. Przed arcybiskupem gnieźnieńskim, jako legatem, noszono zawsze krzyż srebrny, gdy występował publicznie, choćby to było w obecności nuncjusza i króla. Gdy arcybiskup gnieźnieński, zarazem legatus natus i prymas, przy koronacji króla Władysława IV i jego żony Cecylii Renaty ustąpił pierwszeństwa nuncjuszowi papieskiemu, zaraz go napomniano, by rowych zwyczajów w Polsce nie wprowadzał.

Arcybiskupi gnieźnieńscy, jako legaci Stolicy Apostolskiej, mieli w XVII wieku ustalone już prawo wykonywania władzy duchownej w czasie nieobecności nuncjusza i z tego powodu wynikały spory między t. zw. internuncjuszami, których nuncjusze papiescy, wyjeżdżając do Rzymu, zostawiali na swym miejscu w zastępstwie, jako swoich zaufanych. Tak za panowania Jana Sobieskiego, kiedy legat papieski Buonsini, wydalając się z Polski, zostawił internuncjusza, to zaraz arcybiskup gnieźnieński Olszowski Andrzej, autor książki „De primatu ecclesiae gnesnensis“, wysłał do Rzymu protest i rozesłał list okólny do wszystkich diecezji w obronie swoich praw, które mu, jako „legatowi urodzonemu“, przysługiwały.

Noszenia ubioru purpurowego arcybiskupi gnieźnieńscy, jako „legati nati“, od dawna zaniechali. Zwyczaj ten odnowił do piero arcybiskup prymas i legat urodzony Krzysztof Szembek (zm. 1721), lecz dopiero jego następca Adam Komorowski wyjednał w roku 1749 u papieża Benedykta XIV potwierdzenie tego zwyczaju dla siebie i swoich następców, którzy zawsze purpury w ubiorze używali.

Oto garść przypomnień historycznych, zebranych skrzętnie z czterech tomów „Historii Kościoła Polskiego“, opracowanej przez ks. Melchiora Bulińskiego, pralata kapituły sandomierskiej i b. profesora b. Akademii Duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie, a wydanej w

Krakowie w roku 1873. Od tego czasu zapewne zdołali historycy, zajmujący się historią Kościoła Polskiego, wnieść nowe szczegóły do poruszonego tematu, lecz dzieło ks. Bulińskiego uchodzi dotychczas, jako wzór niedościgniony i wierny wyraz zdarzeń w życiu Kościoła w Polsce. Zresztą świecka osoba autora tego skryptu nie ma pretensji do wyczerpania tematu i uważa, że przytoczone fakty wystarczą, by przeciętny czytelnik zdołał uchwycić perspektywę i znaczenie potrójnej, względnie poczwórnej godności ks. Prymasa Hłonda, jako arcybiskupa gnieźnieńskiego, arcybiskupa warszawskiego i „urodzonego legata“ papieskiego.

Marcin Bielawa

## Z CZASU WOJNY

Jest bardzo możliwe, że pewna część zastrzeżeń ujawnianych w stosunku do radykalnej postawy społecznej niektórych grup katolików obecnie działających, wynika z nieznamościami wojennego okresu społecznej pracy katolickiej. Jest stosunkowo niewielu, którzy są świadkami zakresu podejmowanych konspiracyjnie prac katolickich, oraz ich wyników.

Jeśli stwierdzić, że społeczna akcja katolicka sześciu lat wojennych pozostawiła głębokie i niezatarte ślady na postawie działających wówczas katolików, że nie było żadnej przerwy, ani luki w społecznej pracy katolickiej, między przed- i powojennymi latami — trzeba przyjąć wniosek, iż zdobycze katolickiej pracy społecznej z czasu wojny muszą być uwzględnione przy rozpatrywaniu i ocenie postawy społecznie czynnych katolików dnia dzisiejszego.

Można mieć pewne zastrzeżenia do takich czy innych przejawów aktywności społecznej katolików w okresie konspiracji, można nawet niektóre osiągnięcia odrzucić — jest jednak pewne, że okres wojennego w pracy katolickiej nie da się przekreślić i że stanowi ona wyraźny w zarysach i świetlany łuk, łączący dawne i obecne czasy.

Klimat katolickiej pracy społecznej podczas wojny wytwarzały piękne postaci tych katolików, którzy całkowicie, bezkompromisowo, z pełnym zrozumieniem konieczności poniesienia największych osobistych ofiar, podejmowali pracę nad realizacją katolickiego odrodzenia moralnego w życiu społecznym, uważając, że nieszczęścia narodowe „ofiara krwi i męczeństwa przeorują psychikę Polaka, zbliżą go do Boga“.

Typ zakonnika i żołnierza, o którym w sensie postulatów dla czasów obecnych pisze Jan Dobraczyński, był w czasie wojny realnym osiągniętym typem katolickiego działacza społecznego.

I nie symboliczność cech składała się na ten typ. Katolickimi działaczami społecznymi byli rzeczywiście zakonnicy i rze-czywiście żołnierze. Nie piszmy o żyjących. Wystarczy wymienić zmarłych zakonników: O. Edmunda Krauzego, Misjonarza, O. Paulińskiego, Pallotyń, O. Kosiłowicza, Jezuitę; żołnierzy: Stasia Popiela z F.O.P.-u, Kowalskiego z „Krzyża i Miecza“, Michała Sobańskiego z „Unii“, Księdza Salamuchę, żołnierza-apostola — aby tym najbardziej skróconym dotknięciem rejestru zmarłych podkreślić i udowodnić fakt zespolenia w wojennej katolickiej pracy społecznej dwóch typów powołań. Z tego zespolenia wynikała siła, budził się entuzjazm.

Nie wzmianki publicystycznej trzeba na to, aby ująć w jakiś sensowny i wy-czepujący wykaz wojenną rolę zakonów w polskim konspiracyjnym życiu społecznym. Dzieje się źle, dla dobra katolickiej sprawy społecznej dzieje się z krzywdą, że poszczególne zakony i poszczególni zakon-nicy nie usiłują zestawić i do opubliko-wania podać swego wspaniałego wkładu do walki o polskość i odrodzenie katol-icyzmu w Polsce. Czyż tylko lista uwię-zionych, umęczonych i straconych ma mó-wić o wkładzie katolików w polską woj-nę o wolność i w katolicką walkę o pra-wdę i sprawiedliwość? Czy tylko w gro-nie zaufanych i wtajemniczonych można wymienić nazwiska żyjących wielkich działaczy czasu wojny, zdobywców dusz

dla Boga i serc dla sprawy polskiej? Salezianie, Jezuita, Dominikanie, Pallotyń, Misjonarze, Marianie, Paulini, Franciszkanie, Karmelici, Szarytki, Rodzina Maryji, Ukrytki, Niepokalanki, Magdalenki, Urszulanki i bodaj wszystk-iej inne zakony dały swoich przedstawicieli i członków do wielkiej pracy katolickiej i polskiej czasu wojny. Nazwiska lub imiona zakonne, które wymienia się z czcią.

Katolicka praca społeczna w czasie wojny posiadała wszystkie znamiona wielkiego społeczeństwa i apostołstwa, które można poprzeć wymienieniem konkretnych faktów i konkretnych terenów pracy. Kościół w czasie wojny nie zamknął się w murach świątyni, nie mogąc inaczej — konspiracyjnie wszedł do działalności społecznej przez swych wybitnych, gorących i pełnych samopoświęce-nia członków. Konspiracyjne katolickie instytucje i kursy naukowe, kierownictwo i opieka duchowa dla konspiracyjnych zespołów katolickich, nieobjęte liczbą „rekolokacje społeczne“, prace charytatywne na wielką skalę, nie wyłączając pracy najtrudniejszej, najniebezpieczniejszej, jaką było uratowanie przez zakonne i świeckie katolickie zakłady wychowawcze wielu set żyć dzieci żydowskich, a wreszcie udział, bezpośredni udział w każdej walce o niepodległość, w każdej akcji walczącego narodu polskiego.

Hasło katolickie, rewolucji moralnej, wymienione podczas konspiracji w tajnych broszurach i periodykach katolickich, było przyjęte świadomie lub nieświadomie przez wszystkie zespoły katolickie, pracujące nad zaszczerpieniem w społeczeństwie polskim zrozumienia obowiązku konsekwentnego życia z wiary.

Czy to „Front Odrodzenia Polski“, czy „Unia“, czy „Kuznia“, czy „Instytut Tomistyczny“, czy wreszcie „Konfederacja Narodu“ w jej wypracowaniach ideowo-programowych — wszystkie stały na stanowisku koniecznych reform moralnych.

„Uniwersalizm“ i „Unionizm“, jako dwa ważne przyczynki do próby sprecyzowania aktualnych wskazań katolickiej doktryny społecznej — oto wynik sześciolletnich prac społecznej myśli katolickiej.

I jeżeli dzisiaj, przy rozpatrywaniu możliwości społecznego działania katolickiego nie uwzględnimy w całej rozciągłości osiągnięć czasu wojennego, tęcza łącząca lata dawne i obecne, przestanie być łukiem łączącym. Zniknie tak, jak znikła gra światła.

W notatce niniejszej nie czas i nie miejsce na sprecyzowanie zdania, czy przez zniweczenie tęczy, jako łuku łączącego, katolicyzm społeczny traci lub zyskuje.

Czas natomiast i miejsce na wyraźne podkreślenie postulatów, że w obecnych czasach zmagania o istnienie i zwycięstwo katolicyzmu, przykład lat wojennych, które realnie wykazały łączność postawy zakonnika i żołnierza, jest przykładem dobrym i do naśladowania.

Dyscyplina zakonna i dyscyplina żołnierska gwarantują bowiem możliwość znalezienia postawy właściwej. Postawy posłuszeństwa i oddania nadrzędnym zasadom katolickim z jednoczesnym bezkompromisowym i odważnym pełnieniem posłannictwa.

Witold Bienkowski

## Sprawy moralności

Nie chciałem, ale trudno, muszę jeszcze raz wrócić do tego nieszczęsnego grudniowego numeru „Nowej Polski“, Londyn 1945 r. Znajduje się w nim oprócz znakomitego artykułu Słonimskiego p. t. „Golem“, niemniej świetny utwór poetycki Bogumiła Andrzejewskiego. Tytuł naprawdę nieco długi, ale zato przedziwne jasny: „Do eutanazji powszechnej liryczne prolegomena rzewnymi przesłankami elegii żarliwie zopatrzone“. Aby udostępnić czytelnikowi dorobek ta lentu Bogumiła Andrzejewskiego, pozwolę sobie wybrać trochę cytat z tegoż utworu:

„...gdy księżyc zarzuci kotwicę na redzie

wody świadome  
odpiąną z zatok czołowych  
na zawsze,  
pozostawiając muszle  
i szczątki jodynowych łodzi...“.

A dalej:

„...samobójcze  
biało — czerwone ciałka krwi powstań-  
ców  
zmieszane z melancholijnym mułem  
prasłowiańskim

były mi pożywką  
w przedplodowym bytowaniu  
podwójnego czasu...“.

Czytamy dalej:

„...gdy szpiczasty plemnik  
przebił wstydliwą skorupę jajeczka  
na uczcie patriarchalnej  
rozpoczął się mój żywot  
palcami gęśli pisany...“.

Jest jeszcze lepszy rodzynek:

„...miękkie witraże  
wolnomyślnych bóżnic  
gdzie potajennie  
suchotnicę wywrotowej  
przystępowali do żydokomunii...“.

To już chyba wystarczy, chociaż cytaty można mnożyć i mnożyć. Przez całe trzy strony w podwójnej szpalcie ciągnie się ten tasemiec. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś podobne wycięcia mógł pisać myśląc choć przez chwilę, że to poezja. A więc parodia, ale czyich utworów i dlaczego tyle obrzydliwości. Cóż upoważnia do obrażania uczuć religijnych i to w piśmie zatytułowanym „Nowa Polska“. Jest pewna granica parodii, satyry i humoru, a kto ją przekracza pisze prosto obrzydliwości i nie więcej. Zresztą z tą parodią to też kiepsko — i tytuł stylizowany na staropolszczyznę nie pasuje i sam tasemiec w niczym nie przypomina stylu awangardy, chyba brakiem interpunkcji, ale przypuszczam, że brak przecinków i kropek nikogo nie pobudzi do śmiechu. Kto wie, a może autor tak rozmawia z przyjaciółmi: „patrz, cha, cha, cha, nie ma kropki. Rzeczywiście, a tutaj chi, chi, chi, nie ma przecinka“. I tak przez pięć minut w kółko to samo. Nie wiem, mnie się płakać chce nad takim humorem.

Pismo „Nowa Polska“ wychodzi w Londynie, a na okładce przeczytałem „Nowa Polska służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie“.

Boże strzeż, jeżeli jakiś Anglik nauczył się po polsku.

W numerze 20 (77) „Odrodzenia“ p. Alina Świdorska w artykule p. t. „Czy naprawdę koniec „legendy“? polemizuje z Leonardem Podhorskim-Okołowem na temat przypuszczalnych bohaterów erotyków Mickiewicza z okresu pobytu jego nad morzem Czarnym. W artykule tym znalazł się następujący ustęp: „Zrobię tutaj uwagę, że stanowisko rodzin wstawionych w ten sposób w literaturze, jak np. jeśli idzie o Mickiewicza, spadkobierców czy to Joanny Zaleskiej, czy Konstancji Lubińskiej, wydaje się trochę... zaściankowe. Jeżeli w dawniejszych wiekach miłośnicy królów chlubiły się tym zaszczytem (! — przyp. Szpaka) dlatego tylko, że spotkał je od ukoronowanego władcy, pomazańca bożego (jak wierzą no podówczas) — to czyż nie należałoby chlubić się tym bardziej zaszczytem (! — przyp. Szpaka) płynącym od ukoronowanego władcy serc ludzkich, pomazańca geniuszu?“.

Wyraźniej, Szanowna Pani, o jaki „zaszczyt“ chodzi? I czy napewno Mickiewicz wtedy zachowywał się jak pomazańca geniuszu? Bo mnie się wydaje, że jak mężczyzna.

Szpak

## „Oficyna Księgarska“

Warszawa, Marszałkowska 34

Zapowiada:

Konst. Hdefonsa Gałczyńskiego  
„Wiersze zebrane“  
z winiętami J. Knothego

J. Dobraczyńskiego  
„Najeżdźcy“

Juliusz Kędziora

# Lux in tenebris

Mężowie wszyscy, uczniowie, podwinęszy nogi, siedzieli na ziemi, która zdeptana była tysiącami nóg rzesz ludzkich.

Siedząc, pożywali baraninę i gęsto zapijali wodą.

Dziwowali się wielu, iż Mistrz, dzień cały spędziwszy na nauczaniu i uzdrawianiu, ani pomyślał o pożywieniu, ale zniknąwszy w izbie, trwa na modlitwie.

Ze głodni byli, słychać było trzaskanie ogryzanych kości.

W chłodzie wieczornego cienia rozprężali członki swoje zużone pracą dnia i skwarem wielkim.

Cień był jako fiolet ciemny, którym łagodniły poblaski zielonego nieba.

Oni byli w tym cieniu, jako brunatne plamy swoich sukien ciemnych; a zaś jaśniej znaczyły się brązowe ich oblicza i ręce spalone słońcem.

Niecałe podwórze zasnuło się w cieniu; a bowiem był kącik niewielki, kędy padały ostatnie blaski słońca.

Które były żółte, jako pomarańcze i czerwone, jako krew i purpurowe, jako dostojność królewska.

Stojąc w onych, Anna, oparła się o zrub muru kamienny.

Choć młode były jej siły, to dzień utrudliwy zwiesił jej ręce wzdłuż ciała.

Przywarła oczy. Oblicze nie przykryte zasłoną, znaczyło się mocno ciemnymi ustami, zagrubionymi nieco. Zaś suknia z płótna lnianego, przybrudzona niewiele, była koloru kamieni, o które Anna się wspierała.

W rękach czuła równe, a ciężkie uderzenia serca.

Zmęczonej upałem, nie chciało się ruszyć.

Słyszała gwar uczniów Jezusowych: których wiele przebywało z Nim i chodziło z Nim.

Z pośród tych pochwyliła czasem słowo jakoweś Szymona, męża swojego: którego coraz częściej zwali wszyscy Piotrem.

Iż tak nazwał go On.

Zaś z drugiej strony słyszała gwar głosów niewieścich: abowiem wiele niewiast służyło Jezusowi, już to z majątności swoich, już to pracą swoją około sporządzenia jadła dla uczniów wielu, jako też około ochędóstwa wszelkiego szat ich.

A były te głosy i młode i stare. A były liczne.

Jeno nie słyszała Anna w pośród głosu Maryji, Matki Jezusowej. A przecie czuła, że On tam jest.

Jakoteż nie słyszała głosu Jezusa w pośród uczniów: a bowiem nie było Go pomiędzy nimi, a był.

Poznała, że i gwar niewiast i głosy mężów nie te są, które by były czasu innego zebrania liczego. Śmiechy nie we-

selili się mniej, niż indziej kiedy, a przecie wydawało się Annie, jakoby je mur gruby tłumił. Zaś słowa mówiące obtoczone były, jako kamienie w strumieniu obtoczone są.

Któryś z uczniów skończywszy pożywienie swoje, na fletni grać począł. Widno pasterz jakowyś: bowiem pieśń się wywiodła długa i smętna, a rozległa, jako rozległe są górskie pastwiska, a nieskończona, jako nieskończone są niebiosy, ze szczytów widziane.

Wnet, kilku śpiewać zaczęło zawodliwie.

Anna poczuła, że promienie słońca zesunęły się z oblicza jej.

Otworzyła oczy. Szary mrok przedwieczny, ruszając sennie tym i owym pośród uczniów, do snu się skłaniał; a pieśń usypiała go jakoby.

Atoli żona Piotrowa nie do snu układała myśli swoje: przeto że pieśń uczniów pasterzy poruszyła duszą jej.

Oczy Anny zwilgotniały.

Abowiem patrząc na tamtych, ucisku doznała w sercu swoim.

I ujrzała, jakoby spoza siebie widząc: oto domostwo męża jej: którego jest blisko: którego jest tam, po drugiej stronie podwórza. A przecie jakże ona, Anna, daleko jest od niego.

Ani jej podejść ku niemu, ani też on jest, aby ku niej podsześć.

A czemuż żyje wiele takich, którzy szczęśliwi są w domu swoim i dostatkami wszelakimi i potomstwem liczonym?

Oto im, z Szymonem (którego coraz więcej spośród towarzyszy jego nazywa Piotrem), oto im, z Szymonem ani już myśleć, aby doszli w życiu jakiegoś dostatku. Ani pomyśleć o potomstwie.

Abowiem Mistrz, serce męża jej poimał, a serce jej, Anny, w niewolę wziął. I nastąpiło rozbieżenie wielkie rodziny ich i losu ich przyszłego.

Milując Jezusa miłością, wielką, nie była krzywa, iż Jego to sprawą się stało. Jeno ból ją ogarnął, iż się stało.

A czując sercem swoim wiele u Jezusa, nie mogła odstąpić od myśli swoich: które nawiedzały ją więcej, niżli z początku: przeto że coraz wyraźniej widziała; iż którego umiowała, mąż jej, odchodzi od niej: a dzień każdy jest dniem oddalenia. Zasię dom jej zburzony został. A zasię podpora i pociecha starości jej, dzieci, nie ujrzą nigdy światła dnia, ani srebrzystej nocy. Ani posłyszysz świergotu małego, ani się drobne ręce ku niej wyciągną.

W szarzyźnie zmierzchu pieśń pęcniła na podwórzu domostwa Piotrowego: abowiem którzy z uczniów nie znali słów, melodią samą śpiewali.

Anna, pochyliwszy głowę swoją, ukryła twarz w dłoniach, a szloch cichy

wstrząsała ciałem jej, jako dreszcz nocy wstrząsa chłodem.

Od bramy, iż była rozwartą dniem i nocą, szły cienie jakoweś, niosąc inne cienie.

Synowie Izraela znosili swoje chore i kaleki, aby były uzdrowione przed oblicznością Jezusa z Nazaretu.

Byli, którzy wchodzili i którzy wychodzili, byli nawołujący się i rozpytujący uczniów o Nauczyciela.

A przecie pieśń się nie rwała, jeno smętna, wyciągała duszę Anny; iż z trudem wstrzymywała się, aby głosem zawodem nie przywieść kogo ku sobie.

Atoli kroki jakieś, jakoby uludy, a nie człowieka, przysunawszy się ku Annie, stanęły.

Ani ich posłyszała Anna, ani ich poczuła.

Drgnęła nagle, kiedy czyjaś dłoń spoczęła na jej głowie: a drgnęła, chociaż dłoń miękka była i łagodna.

Głos cichy spytał:

— Czemu płaczesz?

Ktokolwiek by stanął tej chwili obok Anny, była by mu nierada wielce. Choćby nawet Szymon był, choćby matka jej.

Iż nade wszystko pragnęła samotności. Otworzywszy usta swoje, szepnęła:

— Maryjo!

Odpowiedziała jej, mówiąc:

— Jam jest. Nie bój się. Iż widziałam cię smutną już od wielu, szukałam cię. Lecz jeśli nie pragniesz mówić ze mną, odejść.

Przytrzymała ją Anna, wzywając gorąco:

— Nie! Nie odchódź!

Tu i ówdzie zapalały się łuczywa, wydając z ciemności oblicza ciemne i błyski w oczach i nosze z chorymi i niemocnymi.

Pieśń inną zawiódł flecista: która borykając się z ciemnym gwarem, nie mogła go przewyciężyć: gdyż niekiedy z uczniów na spoczynek się układali.

Rzekła Maryja:

— Łzy twoje dobre są: iż oplakują co jest ziemskiego. A nie zaznał by człowiek nieba, gdyby ziemi nie dotknął.

Spojrawszy Anna zdziwiona, spytała:

— Skąd wiesz, co oplakuję?

Odpowiedziała jej i rzekła:

— Jako i ty, niewiastą jestem. Przeto rozumiem co ci jest drogie, a zasię co utraciłaś: a bowiem i ja mając wiele, wiele utraciłam...

Przerwała jej Anna zawiedziona jakoby:

— Tedy nie wiesz co mi dolega, prawując tak.

Maryja mówiła dalej:

— ...a utraciwszy wiele, znalazłem.

Tedy zaprawdę powiadam ci; iż odnajdziesz męża swojego. I więcej niżli męża: a bowiem którego odnajdziesz, napelnion będzie Duchem Bożym. Ani się turbuj o dziatki: przeto że w obliczności Pańskiej duch pomnożony być może, a w duchu owym znajdziesz, czego byś pragnęła.

Z za drzew figowych, rosnących po drugiej stronie muru, księżyc wyjrzał srebrnolico. A pozostawiwszy w cieniu postacie niewiast, głowy ich srebrem bladym rozjaśnił.

I objawiły się w tajemnej pomroce twarze bez zasłon niewieścich: jedna młoda — Anny, zasię druga sędziwa — Maryji.

Jeno tróška na ustach Anny była stara, jako ziemia stara jest.

Jeno spokój na ustach Maryji młody był, abowiem czasu nie znał.

Rzekła Anna smutno:

— Wiem ja, iż co od Syna Twojego jest, dobre jest. Wszakże i mąż i niewiastę stworzył Pan, aby żyli, aby się rozmnażali. Czyliż więc Syn Twój słusznie czyni rozłączając, co Przedwieczny złączył?

Uśmiechnęła się Maryja. A w tym uśmiechu była tak podobna do Jezusa, kiedy się uśmiechał, jakoby Ona nie była niewiastą, jakoby On nie był mężem.

A uśmiechając się, rzekła:

— Czyliż Syn nie jest godzien Ojca swojego, jeśli w Duchu Jego poczyta? Widząc uczni i cuda Jezusa dziwujesz się: a w zadziwieniu nie widzisz, iż są Boże. Jest ci przeto Jezus Bożym Synem: tedy Mu rozłączyć można, co sam w Ojcu swoim złączył.

— A iżecie wybrani oboje przez Niego ku sprawom niebieskim, tedy was ziemia ściga.

— Abowiem nie ściga tych, którzy są jeno synami ziemi.

— O smutek twój nie bój się: przeto że umiowałaś Jezusa, jako i mąż twój Go umiował.

— Tedy w miłości ku Niemu spotkacie się. A będzie spotkanie wasze piękniejsze, niżli dwojga umiowanych na ziemi.

— Ani się lękaj czasu: gdyż i na ziemi bywają duchy anielskie i Boże.

Maryja odeszła, zostawiając Annę myślom swoim.

Która szeroko rozwartemi oczami wpatrując się w kolo miesiąca, szepnęła:

— Jest ci tedy Jezus Bożym Synem... Wpośród uczniów, fletnia coraz ciszej grała...

Coraz mniej było wchodzących przez bramę...

Dom Piotrowy zasypiał.

Jeno Anna stała o mur wsparta, wpatrując się szeroko rozwartemi oczami w kolo miesiąca.

## Ostrze na ostrze

### Uwagi na marginesie artykułu z cyklu „lipowyc k”

Wspomniany artykuł, napisany przez A. Schaffa, znajduje się w 15 numerze „Odrodzenia”. Autor, który podał nam raz „lipowyc” informację o rzekomym istnieniu naukowego uzasadnienia materializmu dialektycznego na gruncie nauk przyrodniczych, obecnie zaznajamia nas z inną sensacyjną tezą. Oto ona: „Odkrycie dwoistej — korpuskularno-falowej — istoty materii jest zdarzeniem wielkim, ale prawdziwą rewolucją jest dopiero wypływający z niej wniosek o sprzecznej istocie rzeczywistości”.

Szkoda tylko, że autor nie powiedział, jaki majsterszyk logiczny pozwolił mu taki wniosek wysnuć. Wniosek naprawdę rewolucyjny. Dotychczas mniemano, że na podstawie praw logiki można coś sądzić o rzeczywistości. Tymczasem A. Schaff to mniemanie obala. Zważywszy, że jak to się popularnie mówi, nie ma myślenia poza językiem, poprawne sformułowanie tezy: „Istotą rzeczywistości jest sprzeczność”, będzie negacją zasady sprzeczności. Biała nauca! Chwieją się aksjomaty, z których tę fałszywą zasadę wysnuło. W gruzach leży teoria dedukcji, na prosek została starta matematyka,

katakizm z zastraszającą szybkością przenosi się na nauki przyrodnicze! Zniknęła granica między prawdą a fałszem! Autor wobec katastrofy zachowuje zimną krew. Uprzedza, że: „Takie rewolucje muszą dojrzewać i napotykać na niezwykle silny opór rutyny, tradycji, zastarych pojęć i zastanego sposobu myślenia, tego co jest najbardziej konserwatywne w człowieku i najtrudniejsze do zwalczania”.

Protagoras ukłonił się uprzejmie z uśmiechem triumfu, że jego stanowisko w przeciągu 24-letnich stuleci nie zostało przewyciężone.

Rewolucyjne odkrycie Schaffa stawia go wobec konieczności zdefiniowania terminu „myślenie naukowe” w ten sposób, aby ktoś nie sądził, że myśli naukowo, gdy posługuje się prawami logiki. Przeciwnie: z określeń podanych przez Schaffa wynika, że stosowanie tych praw jako powiązanych z zasadą sprzeczności musi być wyeliminowane. Schaff w poszukiwaniu filozofii, uwzględniającej „obiektywny charakter sprzeczności, ujawniających się w rzeczywistości” stwierdza, że jest nią materializm dialektyczny. Mate-

rializm dialektyczny to marksizm, ten zaś... Oto słowa Schaffa: „Marksizm jest równoznaczny z naukowym myśleniem”. Ponieważ przy „naukowym myśleniu” w rozumieniu Schaffa logika fikcyjna koła i leży w niewygodnej pozycji, przewrócona do góry nogami, nieciekawie wypadnie odpowiedź na pytanie, z czym jest równoznaczny marksizm. Podejrzewam, że tezy Schaffa są zbyt ryzykowne, aby je można było uważać za wyraz ortodoksyjnego marksizmu.

Coś mi się przypomina, że Schaff niedługo akcentował swoje stanowisko, wróg relatywizmowi w pojmowaniu prawdy. Obecnie, chcąc być konsekwentnym, będzie musiał je poddać rewizji. Ach! Zapomniałam. Wcale nie będzie musiał, bo nie obowiązuje go zasada sprzeczności.

Tyle o samym artykule. A teraz trochę przewidywać, co do jego wpływu na sprecyzowanie stanowiska przeciwników marksizmu. Myślę, że podawanie „lipowyc” uzasadnień materializmu dialektycznego poderwie zaufanie do naukowych osiągnięć marksistów. Zwłaszcza, że różnica znaczeń między „materializmem dialektycznym” a „materializmem historycznym” nie jest przez niemarksistów należycie uwzględniana; brzdąci tu podobne brzmienie nazwy, tak, że przypomina się niewyszukaną anegdotkę: „Ja-

ka jest różnica między chloroformem a chlorofilem? — Taka jak między Hamletem a omeletem”. Nie wiem, czy ktoś z przeciwników marksizmu wie coś o uzasadnieniu materializmu dialektycznego, ale jeśli chodzi o tak zwany materializm historyczny, zapoznanie się z nim może być korzystne z punktu widzenia poszukiwań rozwiązania aktualnych zagadnień wykrycia praw rządzących społeczeństwem i zaprojektowanie instytucji przystosowanych do tych praw. Nawet gdybyśmy się nie godzili na rozwiązanie przeciwników, samo nagromadzenie przez nich materiału może rzucić ciekawe światło na interesujące nas zagadnienie, zwłaszcza wówczas, gdy próbie rozwiązania towarzyszy zamiar stosowania się do najsurowszych wymagań nowoczesnej metodologii, w celu zdobycia prawdy, chociaż odwaga w takim właśnie postawieniu zagadnienia może grozić rezygnacją z ulubionych koncepcji, gdyż sito logicznego empiryzmu ma siatkę bardzo gęstą, tak że nie każda teoria przez nią przeleci. Cenny jest wszelki wysiłek, zmierzający do zdobycia rzetelnej wiedzy w dziedzinie nauki o społeczeństwie.

Ale do tego celu wcale się nie przydatnia propaganda materializmu dialektycznego, obliczona na bezkrytycznego czytelnika.

Maria Budzanowska

## Listy do Redakcji

Panie Redaktorze!

W związku z notatką pana Jana Dobraczyńskiego „Czekam na wyjaśnienie”, zamieszczoną w numerze 18 „Dziś i Jutro”, a dotyczącą jednego z moich wystąpień publicystycznych, uprzejmie proszę o opublikowanie tego listu.

Polemizując w „Tygodniku Powszechnym” (Nr 17) z „Kuznicą” (Nr 14) użyłem zwrotu, że z Bolesławem Piaseckim „nie nas nie łączyło i nie łączy”. Otóż pisząc te słowa nie miałem wcale zamiaru jakiegokolwiek dyskwalifikowania osoby pana Bolesława Piaseckiego, ani też jego czynów. Chodziło mi tylko o to, że nazwisko pana Piaseckiego reprezentuje pewien określony walor polityczny, jest po prostu firmą. Ponieważ zaś ja osobiście nigdy z kierowanym przezeń w przeszłości ruchem politycznym nie wspólnego nie miałem, uważałem za potrzebne to stwierdzić, zwłaszcza, że ów artykuł „Kuznicy”, z którym dyskutowałem, pełen był politycznych aluzji.

Drukując zaś w „Dziś i Jutro” dwa artykuły, wychodziłem z założenia, że pismo to należy do rzędu tych, w których mogą wyrażać swe osobiste poglądy pu-

blicyści. Jednakże zabranie głosu na jego łamach nie może mnie łączyć z żadną grupą, a tym bardziej osobą.

W notatce swej pan Dobraczyński wspomina o plotkach, skierowywanych przeciwko „Dziś i Jutro”. Z analizy tekstu wynika, że słowa te nie odnoszą się do mnie. Korzystam ze sposobności, by stwierdzić, że wspomniane moje wystąpienie nie wspólnego z żadną „kampanią” przeciw „Dziś i Jutro” nie ma.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego prawdziwego szacunku.

Paweł Jasienica

Kraków w maju 1946 roku.

Naturalnie po tym oświadczeniu sprawę uważam za całkowicie załatwioną. Ani przez chwilę nie powstało mi w myśli pomawiać p. Jasienicę o rozszerzanie szep-tanych plotek.

Jan Dobraczyński

## NASZE MALARSTWO w Pierwszym Salonie

Z wielkim zainteresowaniem i radością powitała Warszawa Pierwszy Ogólnopolski Salon Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Pierwsza od lat siedmiu wystawa naszej współczesnej plastyki dała możność artystom, miłośnikom i szerokiej publiczności zapoznać się z dorobkiem artystycznym lat wojny i zdać sobie sprawę z poziomem oraz kierunkiem rozwoju dzisiejszej sztuki polskiej. Salon ukazuje nam 442 prace artystów reprezentujące wszystkie polskie środowiska artystyczne, dzięki czemu daje pełny obraz twórczości całego kraju w tej dziedzinie.

Mimo tego ilościowego bogactwa i różnorodności środowisk, całość robi wrażenie raczej jednostajne. (Pomijam tu negatywnie wyróżniającą się salę artystów grupujących się przy dawnej „Zachęcie” nie mogących stanowić przedmiotu rozważań problemów sztuki współczesnej). Wrażenie tej jednostajności nie powstaje wskutek braku wyraźnych indywidualności twórczych, ale wskutek wspólnego kierunku i wspólnym założeniem artystycznym, które obracają się dookoła problemów prawie wyłącznie kolorystycznych. W ramach tego kierunku malarstwo nasze może poszczycić się dużymi osiągnięciami, Eibisch, reprezentowany niestety jednym tylko płótnem, Cybis oraz szereg innych artystów, których nie będę wyciszał, odznaczają się wielką kulturą artystyczną i wiedzą malarską, można powiedzieć, że osiągnęli mistrzostwo w używaniu i zestawieniu kolorów.

Tak się złożyło, że bezpośrednio przed wernisażem omawianego Salonu Warszawa miała możność oglądać kolejno wystawy: malarstwa włoskiego oraz rysunków francuskich. Z przyjemnością bez szowinizmu można stwierdzić, że poziom naszego salonu w zupełności wytrzymuje, a nawet wychodzi zwycięsko zestawienie z wystawą włoską i fragmen-taryczną.

Jednak równocześnie ten niepełny obraz plastyki zachodniej podkreśla wyraźnie jak bardzo brak nam bogactwa kierunków, śmiałości i różnorodności założeń, dynamizmu rodzących i szukających nowych dróg, prądów.

Szereg śmiałych kierunków malarskich nie tylko, że nie przyjął się u nas, ale wydaje się, że nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Taki stan rzeczy należy ocenić krytycznie, najfałszywsze bowiem kierunki z góry skazane na niepowodzenie winny mieć udział w narastaniu doświadczeń i wiedzy malarskiej i wnieść do ogólnego dorobku swoją czastkę. Zarówno kubizm jak formizm, czy też ostatnio surrealizm przeszły w Polsce bez echa, gdyż cała plastyka nasza pozostaje pod potężną i niemal wyłączną sugestią impresjonizmu.

Nie zmniejszając najniżej zasług cytowanych wyżej najwybitniejszych naszych malarzy można żywić obawę, by ich wybitne walory nie narzuciły innym, młodszym, czy mniej samodzielnym artystom zbyt wyraźnego kierunku, a tym samym nie zahamowały rozwoju sztuki przyszłości. Niezawodnie kolor jest bardzo ważnym środkiem wypowiedzi malarza, jako malarstwa wyłączne właściwy, ograniczenie jednak poszukiwań malarskich do tej wyłącznej dziedziny może zatrzymać rozwój malarstwa na martwym punkcie.

Trudno wyobrazić sobie, by wszystkie indywidualności i temperamenty artystyczne zdołały zamknąć się w ramach jednego kierunku i by mogły trzymać się jego norm, dać pełnię swego indywidualnego wyrazu. Dlatego pozostając słusznie dumni z poziomu naszego współczesnego malarstwa, oczekujemy od niego w przyszłości większego bogactwa założeń, większej różnorodności środków, a przede wszystkim śmiałości poszukiwań.

A. Kr.

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i Jutro”, prosimy o nadesłanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenziyjną.

## Kronika kulturalno-naukowa

Ukazał się pierwszy numer „Ziemi” po przeszło sześciu latach przerwy spowodowanej działaniami wojennymi. Założona w 1910 roku „Ziemia” jako organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego czy to w warunkach niewoli czy w warunkach Polski Niepodległej, budziła umiłowanie Kraju Ojczystego, rozpowszechniała znajomość polskich ziem i polskiej kultury. Dziś stoi krajoznawstwo polskie przed specjalnymi zadaniami. Zadaniami tymi są rozpowszechnienie i przyswojenie wiadomości o Ziemiach Odzyskanych, o ziemiach, których znajomość do niedawna była równa zeru w społeczeństwie polskim. Piszemy „donie-dawna”, gdyż trzeba przyznać obiektywnie, że z chwilą, gdy żołnierz polski stanął nad Odrą i Nysą, literatura krajoznawcza polska o tych ziemiach zaczęła się rozwijać bujnie pod kątem naszych celów państwowych i narodowych. Już dziś można powiedzieć, że osiągnięto bardzo dużo choć potrzeby nasze są jeszcze bardzo ogromne.

Start rozpoczął wtenczas, jak wiado-

mo, Instytut Zachodni, który wydał pracę zbiorową, napisaną przez Kiełczewską i Grodka p. t. „Odra — Nysa — najlepsza granica Polski”. Dalszym pozytywnym osiągnięciem było urządzenie w Krakowie kursu o Ziemiach Zachodnich przez Uniwersytet Jagielloński i Akademię Górniczą w Krakowie, którego rezultatem było wydanie 14 broszurek na tematy naukowe związane z tym zagadnieniem. Po tym przyszła kolej na prace ks. Kozirowskiego, Komunikaty Instytutu Bałtyckiego, wydawnictwa Instytutu Śląskiego w Katowicach z wznowionym periodykiem „Zaranie Śląskie” na czele. Od 1945 roku wychodzi wreszcie „Odra” w Katowicach, która oprócz zagadnień literacko-społecznych dużo miejsca poświęca zagadnieniom krajoznawczym Ziemi Odzyskanych. Wreszcie w marcu b. r. rozpoczęto wydawać w Jeleniej Górze czasopismo „Śląsk” jako typowe pismo krajoznawcze regionu. Poznań wydaje też dwa pisma o charakterze kulturalno-krajoznawczym. Wskrzyszony został „Przegląd Wielkopolski” jako miesięcznik regionalny poświęcony zagadnieniom kultury wielkopolskiej w przeszłości i teraźniejszości oraz „Kronika Stołm. Poznania” jako czasopismo poświęcone sprawom kulturalnym tego miasta. W Bydgoszczy wychodzi „Arkona” poświęcona zagadnieniom pomorskim, a w Gdańsku pismo p. t. „Wiatr od Morza”, czasopismo poświęcone zagadnieniom polskiej kultury marynistycznej. W Wejherowie zostało wznowione czasopismo kaszubskie p. t. „Zrzesz Kaszubsko”, które porusza szereg momentów regionalnych, zaś w Olsztynie po upadku pisma „Głos Ziemi” wychodzi pismo codzienne p. t. „Wiadomości Mazurskie”, które posiada szereg artykułów na tematy regionalne tej części Polski.

Istnieją projekty wznowienia w najbliższym czasie przedwojennego pisma polskiego, które jako tygodnik lub dwutygodnik nawiązywałoby do tradycji „Gazety Olsztyńskiej”, wydawanej do września 1939 r. przez miejscowego działacza mazurskiego Pieniężnego. W Kielcach wychodzi pismo regionalne p. t. „Cychry”, zaś w Lublinie wychodzi „Zdrój” — czasopismo literackie, które poświęca na swych łamach miejsce zagadnieniom regionalnym ziemi lubelskiej. Nie ma jeszcze pisma regionalnego na Podhalu, aczkolwiek słychać, że będzie wydawana w najbliższym czasie ponownie „Gazeta Podhalańska” oraz wznowione będzie wydawnictwo „Wierchow”, rocznika poświęconego górom i góralszczyźnie pod redakcją prof. W. Goetla. W Warszawie wreszcie wychodzi „Szarpa”, która porusza problemy Warszawy i regionu warszawskiego.

Oto jak wyglądają sprawy krajoznawstwa polskiego pojęte jako regionalne osiągnięcia przedostatczym ukazaniem się „Ziemi”. Byłoby błędem oczywiście gdyby działa krajoznawcze wyżej wymienionych pism zostały zlikwidowane względnie gdyby Polskie Towarzystwo Krajoznawcze chciało przejąć dotychczasową inicjatywę w swoje ręce. Rola P. T. K. i Redakcji „Ziemi” jest inna. Winna ją cechować koordynacja wysiłków i pomoc w osiągnięciu zdobyczy regionalizmu w myśl szczytnych zasad krajoznawstwa polskiego, któremu proste a tak wymowne ścieżki wskazywali Gloger, Janowski i Patkowski. Rola „Ziemi” to rola przewodnika po ziemiach polskich oraz czynnika koordynacyjnego wysiłków polskiej myśli krajoznawczej wytwarzającej swoje zdobycze w poszczególnych ośrodkach regionalnych. Dziś może więcej niż kiedykolwiek budujemy nowe wartości w oparciu o czynniki i tradycje fizjograficzne, historyczne, gospodarcze i społeczne poszczególnych ziem. Poszczególne części regionalne ziem polskich dziś wypracowują sobie specyficzny styl życia kulturalnego w oparciu o tradycje rodzime dla danej ziemi. Dopływ inteligencji z warstwy chłopskiej i robotniczej jako współtwórców postawy kulturalnej obok inteligencji zawodowej stwarza, że wytwarzają się specyficzne ośrodki kultury dla danych ziem o specyficznych zabarwieniach regionalnych. Warto tylko przytoczyć środowisko łódzkie i m. p. kaszubskie i mazursko-warmińskie, aby zdać sobie sprawę z tych rozbieżności. Wszystkie te trzy ośrodki mają inną podstawę ideową i kulturalną w świadomej dążności do budowania nowych wartości o tradycje swego regionu. Rola „Ziemi”, to rola koordynacji tych wysiłków, wysiłków zmierzających do ugruntowania znajomości i umiłowania ziem polskich nie tylko jako pewnych cech regionalnych naszego kraju, ale także jako całości kulturalnych wartości ogólnonarodowych.

J. Ant.

## KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946— wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1030 zł. (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł. plus porto)

ks. dr. Win. Helenowski  
Gostynin, wojew. Warszawskie.

## Poezja Broniewskiego

Twórczość wojenna Broniewskiego, z którą publiczność, interesująca się literaturą, miała możność zapoznać się na jego wieczorach autorskich, oraz w prasie, to obraz tułaczki Polaków na Wschodzie i Zachodzie, to obraz walki o niepodległość zdala od kraju wytęsknionego bez granic.

Patriotyzm wielkiego poety-żołnierza, tego „syna niepodległej pieśni niepodbitego narodu” tryska z każdej strofy, poczawszy od napisanego na pół roku przed wybuchem wojny wiersza „Bagnet na broń” — wiersza przewidującego wypadki i zagrzewającego do walki. Wiara w zwycięstwo towarzyszy Broniewskiemu w jego tułaczce wojennej prawie bezustannie. Sycimy się nią w wierszu „Droga” („Droga wiodła z daleka, przez Narwik, pełna wiary w zwycięstwo. Nie ma śmierci, jest rozkaz, każdy trup to drogowca. Droga wiedzie do Polski ze wszystkich na świecie Norwegii...”, oraz w wierszu „Monte Cassino”)... „Nasze granice” — „Póki żyjemy”, wszędzie, gdzie nasi walczą i giną. Gniewnie idziemy, krwawo idziemy, nasze granice w Monte Cassino). Ta wiara poety nie była bezużyteczna, gdy podczas okupacji niemieckiej wiersze Broniewskiego wędrowały po Polsce poławiane z rąk do rąk i umieszczane w wydawnictwach konspiracyjnych. Ilekroć mowy budził w naszej młodzieży wiersz „Pionierom”, rozpoczynający się od słów: „Jeśli serce w piersi za ciężkie, pierś rozerw i serce rwij! Wyśiel drogę wiosną zwycięskiej mostem ramion, purpurą krwi. Jeśli serce w piersi za ciężkie, starczy okrzyk rozgrzanych łuf. Wycięż oczy, zęby zacisnij, stawaj w szereg, nie tężba słów”. A obecnie ileż jeszcze wzruszenia budzi się w nas pod wpływem prostych strof, w których poeta mówi, że nieczym są dla niego troski, gdy w garści ma karabin, co w boju nie chybici... „Co mi tam piaski w Libii, co mi obóz i więzienie... Potrzebne mi mocne buty, aby dojść do Warszawy. Co mi tam bogactw szukać, ja nie mam nie oprócz pieśni. Byleby duch był mocny, byleby karabin był w garści...”

Ale nie tylko akcenty optymizmu tkwią w twórczości Broniewskiego. Jest on prawdziwym artystą, wrażliwym na każde przeżycie, to też cbok słów pełnych siły i męstwa płyną słowa bolesnej zadumy, a nawet żałobienia. Oto parę smutku wiersz napisany w 39 roku: „Zcniierz polski” („...Siedzi żołnierz ze spuszczoną głową zasłuchany w tę pieśń brzożową — bez broni... bez domu”). Podobnie wiersz „Drzewo rozpaczające” zawiera słowa ciężkie i niekojone. „Drzewo po ziemi tarzające łbem i w buncie rozpaczające, ja z tobą, drzewo, szumie jednym tchem, najsmotniejszy pod słońcem: mną także szarpie napastliwy wiatr, do ziemi zgina ulewa, dwa lata wrastam w twój zamary świat, gnę się, prostuję i — śpię. Nie wiem, gdzie kiedyś całkiem wrosną w grunt, gdy przyjdzie mi kości złożyć, lecz niech mi śpiewa swój żal i swój bunt takie drzewo, podobne do brzozy”.

Choć Broniewski jest wyznawcą materializmu historycznego, a ściślej mówiąc marksizmu, który głosi, że sztuka wyraża nie z rewolucji społecznej i jest wyrazem przemian ekonomiczno-społecznych (dość wspomnieć wyrażające bunt społeczny wiersze Broniewskiego „Zagłębie Dąbrowskie”, „Łódź”, „Twarde ręce”, „Prawodawcom”, „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego”), w poecie tkwi równocześnie szczerzy idealizm, wiara w wartości moralne, jako te, które powinny kształtować dzieje ludzkości (miłość bliźniego, poczucie sprawiedliwości). Wiara ta występuje w wierszu „Paragraf”, gdzie poeta protestuje przeciwko niesprawiedliwości ludzkich praw, w wierszu „Via dolorosa”, a także „Ballady i romanse”. Wiąże się z tym liryzm Broniewskiego, który prowadzi ku czystej poezji. („Brzoza”, „Miasto rodzinne”, „W pociągu”). Liryzm ten odbiegł nieco

od typowo skamandryckiego realistycznego ujmowania zjawisk życiowych z pierwszego okresu twórczości poety, ale równocześnie zbogacił jego poezję. Nie ma wątpliwości, że Broniewski jest jednym z najlepszych naszych poetów. Jego wiersze są zrozumiałe dla szerokiego mas dzięki prostocie i ludzkiemu podejściu do wszelkich zagadnień. I nie żadna narzucona programowość, która może jedynie odrzucić czytelnika najbardziej nawet niewyrobionego, ale talent i twórcza indywidualność pasowała Broniewskiego na poetę ludu. Ekspresja Broniewskiego jest wynikiem wysokiego poziomu artystycznego jego poezji. Słusznie też powiedział Irykowski, potępiając frazeologiczną blagę poezji agitacyjnej, że „pisarz socjalistyczny powinien swój socjalizm udowodnić obywatelom swego horyzontu, trafnością swych diagnoz, prawdą i wyobraźnią we wszystkich dziedzinach, intensywności uczucia, żeby nikt nie mógł powiedzieć, gdzie zaczyna się tylko talent, a kończy się idea”. Dlatego też modynych w swoim czasie programowych manifestów t. zw. poezji proletariackiej nie można w ogóle poezją nazwać. Proletariat nie stoi na tak niskim poziomie, aby manifesty mogły mu zastąpić sztukę. Obecne bezustanne gadanie o sztuce, jaką trzeba stworzyć „dla mas”, również nie może zastąpić „masom” doznań artystycznych, których tak się im skąpi z obawy, aby nie były zbyt wykwinne.

Ekspresja Broniewskiego opiera się na jasnej treści i formie. Nie ma tu żadnej retoryki, każde słowo ma swą wagę. Sugestywność chwilami niemal porywająca wypływa z bezpośredniości i szczerości, która tym silniej działa, że nie jest absolutnie maskowana. Poeta wypowiada się zawsze wprost — od siebie, w pierwszej osobie. I choć można się nie zgadzać z ideologią Broniewskiego, nie można mu nie przyznać głębokiego artystycznego i szlachetności. Broniewski fanatycznie oddany jest sprawie, za którą walczy i to budzi szacunek. W okresie, gdy ogół poetów czerpał treść z przelotnych, mało nieraz ważnych przeżyć codziennych, Broniewski sięgnął do spraw zasadniczych. Nie pozostał obojętny na sprawy proletariatu całego świata. Świadczą o tym jego wiersze, poświęcone walkom w Hiszpanii („No pesaran”, „Cześć i dynamit”). Znamienne jest to, że obecnie, choć rewolucja już się u nas częściowo dokonała siła dynamiczna, tkwiąca w poezji Broniewskiego, nie straciła swojej aktualności. Świadczy to, że wclność klasy uciśnionej, którą sobie poeta wymarzył, nie jest jeszcze całkowita. Choć nie ma już „tłustych Scheiblerów” jest jeszcze niejedna „Ulica Miła”.

Ale może przyjdzie jeszcze wysnione przez poetę pełne zwycięstwo. Czyż nie przewidywał on tak wiele w wierszu „Krzyk ostateczny” (ze zbioru pod tą samą nazwą) i „Lekka atletyka” (ze zbioru „Troska i pieśń”). I dlatego też dobrze się stało, że wydano powtórnie oba te zbiorki, choć niejedną z zawartych w nich wierszy technicznie młodzieńczością. Wciąż prawdziwe są słowa Broniewskiego z wiersza „Miasto rodzinne” „...umiem kochać i cierpieć i bić się...”. Powinniśmy życzyć sobie, aby jak najprędzej wyszły z druku wszystkie wiersze Broniewskiego. Osobne liryki poety są bodźcą najpiękniejsze („Ręka umarła”, „Skorpion”, „Malaria”). Wzruszający jest nieopieranie wiersz „List z więzienia”, rozpoczynający się słowami: „Córeczko miła...”.

Wobec wielkiej bezpośredniości i prostoty brak u Broniewskiego miejsca na jakieś skomplikowane metafory. Zato jest dużo ciekawych asonansów przy równoczesnej powściągliwości w stosunku do nowatorstwa, powściągliwości niejednokrotnie świadczącej o poczuciu artystycznym opartego na wzorach klasycznych.

Warda Baciewiczówna

# Madame Butterfly

Pisać o warszawskiej operze, to rzecz niełatwa. Szczerzy wysiłek jej kierownictwa, oraz zespołu artystycznego, podejmowany, mimo niezwykle trudnych warunków pracy, z godnym szacunku zapalem, nie pozwala na swobodną i bezwzględną ocenę jej osiągnięć. Bo coż np. z tego, jeśli napiszemy po raz drugi i trzeci, że wystawiane opery nie nadają się na małą scenę, jaką warszawska opera dysponuje, że wymagają one przestrzeni i innej zupełnie oprawy. Cóż z tego, skoro opera większego pomieszczenia zdobyć na razie nie może i na bogatszą wystawę jej nie stać. Choć jasne jest, że to, co nam daje, jest tylko namiastką tego, czegośmy pragnęli, nie mamy sumienia podcinać skrzydeł jej ideowym organizatorom. Musielibyśmy bowiem negować celowość istnienia opery w obecnej formie i życzyć jej, aby zrezygnowała z ambitnych planów, jakich wypełnić bez zarzutu nie jest w stanie i aby przekształciła się w studium operowe, które pokusiłoby się o stworzenie nowego typu kameralnych przedstawień. Ołbrzymie powodzenie opery warszawskiej (trudno sobie wyobrazić salę szczerzej wypełnioną), utwierdza zapewne inicjatorów opery w przekonaniu, że są oni na najlepszej drodze, to też rola sumiennego krytyka jest bardzo trudna i niewdzięczna. Skutkiem skrupułów, które go opadają mimo woli musi się on godzić na tę drogę, prowadzącą ku ślepej uliczce.

„Madame Butterfly“ bardziej, niż którakolwiek inna opera, wymaga powietrza, przestrzeni. Jej rozległa fraza melodyjna nie powinna obijać się od ściany do ściany, lecz płynąć swobodnie i szeroko, aby nie utracić nic ze swego namiętłego żaru. Puccini jest — jak wiadomo — typowym przedstawicielem włoskiego weryzmu, stanowiciego najsilniejszy wyraz reakcji przeciwko operze wagnerowskiej, a polegającego na posługiwaniu się brutalnym naturalizmem sytuacji i środków. Muzyka w „Madame Butterfly“ pełna jest dramatycznego wyrazu i niefałszowanego liryzmu. Egzotyka jej jest wprowadzenie konwencjonalne — przedstawiona japońska scena niewiele ma w sobie prawdy, o czym świadczy najlepiej fakt, że Japonia opery tej jako swojej w ogóle nie uznaje — lecz nie jest to istotne, jeżeli chodzi o jej wartość muzyczną. Mimo pewnej przestarzałości „Madame Butterfly“ ma w sobie dużo wdzięku. Jej partie orkiestrowe brzmią bogato dzięki świetnej instrumentacji.

Można sobie wyobrazić, jak trudne jest zadanie dyrygenta w Warszawskiej nieakustycznej Operze, gdzie orkiestra ustawiona jest na poziomie widowni i ma publiczność niemal na karku. Jakże tu rozgrzać orkiestrę, aby nie zagłuszyć śpiewaków? Ileż trzeba na to rutyny. Olgierd Straziński bardzo starannie przygotował orkiestrę, dzięki czemu brzmi ona czysto i gra sprawniej niż kiedykolwiek, lecz gra ona niestety za głośno, co zmusza śpiewaków do nadzarpywania głosu. Wpływa to ujemnie na ogólne wrażenie i publiczności, każdy bowiem wysiłek zbyt widoczny na scenie obniża poziom artystyczny przedstawienia. Helena Lipowska w roli Madame Butterfly daje z siebie maksimum i choć pod względem głosowym jest całkowicie w porządku, odnosi się wrażenie, że przy tym nateżeniu głosu, jakie jest zmuszona stosować, aby być słyszana, nie wyczerpała długo. Ratuje ją oczywiście technika i wielka rutyna śpiewacza. Ale kosztem pięknego duetu, kończącego akt pierwszy, bardzo dobrze przez Lipowską śpiewanego, duetu, w którym artystka zupełnie się nie oszczędzała, przepada np. zupełnie słynna aria w akcie drugim, gdyż śpiewaczce nie starczyło na nią po prostu sił. Jeżeli chodzi o stronę aktorską Lipowskiej, to niestety, nie wytrzymuje ona krytyki, zwłaszcza w akcie pierwszym. Mocno żenująca jest sztuczna kokieteria śpiewaczki, jako piętnastoletniej Japonczki, a także ociężałość całej postaci — szczególnie w zestawieniu z chłopięcym, złotowłosym Pinkertonem, amerykańskim porucznikiem marynarki. (Michał Szopski). Jeżeli już z takich, czy innych względów dobrano aktorów w tak niezręczny sposób, należało zmuszować ruchiwość bohaterki i nie pozwolić jej na zbędne czolganie się.

Reżyser nie powinien zapominać o tym, że gra i aparycja która ma na tak małej, jak obecna scenie, daleko większe znaczenie, niż na wielkich scenach operowych, gdzie aktor znajduje się w odpowiedniej odległości od widza.

Pod względem aktorskim, jak i zresztą pod względem głosowym najlepiej wypadł akt trzeci, w którym Lipowska była najbardziej skupiona i miała w sobie dużo siły dramatycznej. Michał Szopski, choć w grze nieco wstrzemięźliwy, bardzo dobrze odśpiewał swą partię. Pięknie pod względem głosowym wypadła rola Suzuki, którą kreowała Jadwiga Kłosówna. Jej szlachetny, brzmiący jak wiołoczela alt jest pełen wyrazu. Gra jej również wypadła ciekawie (doskonała np. scena przebudzenia w akcie trzecim). Ale tu niestety znowu uwaga pod adresem reżysera. Kłosówna wygrała niewspółmiernie dużo w stosunku do głównej bohaterki. Choć zatem każdy, najdrobniejszy jej gest szczerze jest przeżyty, z intensywności tej gry należy zrezygnować, aby nie wysuwała się ona, na pierwszy plan wobec nieopiętanej dostatecznie gry Madame Butterfly.

Józef Sendeci (Goro), doskonale wywiązał się ze swego zadania, dając groteskową sylwetkę japońskiego pośrednika małżeństw. Jako typ był on najbardziej bodaj charakterystyczny, dzięki ciekawej masce. Bardzo interesująco wyglądał w roli pełnego dystynkcji amerykańskiego konsula Kazimierz Poreda. Głos jego brzmiał szlachetnie i głęboko, choć chwilami brakło mu nieco miękkości i ciepła. Pozostali aktorzy — w pierwszym rzędzie Władysław Skoraczewski (Bonzo) i Tadeusz Szmagalski (Książę Yamadori) na poziomie. Nieciekawie tylko wypadła Halina Urbanska w małej zresztą roli Kate.

Bezwzględnie najsłabszym punktem całego przedstawienia jest tym razem chór. Piękne, nastrojowe zakończenie drugiego aktu zostało zmarnowane skutkiem tego, że chór (umieszczony za sceną) śpiewał nierówno, fałszywie i niedbale. Równie źle wypadła scena zbiorowa z chórem w akcie pierwszym.

Jak słusznie napisał jeden z naszych recenzentów, aparycja chórzystek jest nie

Margines spraw zagranicznych

## Wielka Brytania walczy

Od wielu już lat sprawy związane z Indiami i drogą do nich były coraz bardziej niepokojące dla rządu brytyjskiego i zagrażające całości Imperium. Indie domagały się pełnej i faktycznej niepodległości, Egipt żądał usunięcia żądóg brytyjskich i pragnął wyswobodzenia się spod brytyjskich wpływów. Rządy brytyjskie w Indiach były dostatecznie liberalne i demokratyczne, by mimo przeszkód stawianych przez lokalne władze administracyjne, nawet mimo presji gospodarczych i karnych — ruchy polityczne ludności induskiej mogły rozwijać się bez specjalnych trudności i osiągnąć niebyłą siłę oraz wielki autorytet moralny i polityczny. Zdecydowana niepodległościowa postawa mas induskiej postanowiła nakoniec sprawę niepodległości tej kolonii brytyjskiej na ostrzu noża. Brytyjczycy doskonale zdawali sobie sprawę, iż niewypelnienie żądań narodów induskiej grozi kiedyś w przyszłości ostatecznym kwawą rozprawą, w której i świat cały, i wrogowie Imperium, i nawet znaczny odłam własnego społeczeństwa sprzyjać będzie Indusom. W takiej sytuacji próbowano grać już tylko na zwłokę, co było tym łatwiejsze, iż wewnętrzna sytuacja polityczna Indii nie jest prosta. Na całość zwaną Indiami składa się około 300 państweczek o przeróżnych ustrojach i indywidualnych układach wiążących je z Londynem, a co najważniejsze — ludność podzielona jest na trzy dość znaczne grupy (hindusów, muzułmanów i Sikhów), z których dwie pierwsze dysponujące potężnymi aparatami politycznymi i przewodzące wielkim masom ludzi mają wręcz sprzeczne założenia podstawowe dotyczące przy-

do przyjęcia. Brak młodych, świeżych głosów musi też ujemnie wpływać na brzmienie chóru. Jeżeli chodzi o dekorację St. Cegielskiego, to choć mało oryginalne i niezbyt stylowe, są one względnie estetyczne. Dość udana jest perspektywa na morze. Stroje — zwłaszcza chóru — pozostawiają wiele do życzenia. Najlepszy kostium Suzuki, księcia Yamadori oraz Bonza. Charakterystyka chóru absolutnie niewystarczająca. Uwagi te rzucam właściwie abstrakcyjnie, zdając sobie bowiem sprawę z tego, że biedna warszawska opera, walcząca wciąż z ogromnymi trudnościami finansowymi wobec braku jakiegokolwiek subsydium, nie może sobie pozwolić na lepsze opracowanie przedstawienia.

Na ostatek zarzut bardzo poważny lecz już skierowany nie w stronę reżysera i aktorów, a w stronę publiczności. Czyż zespół artystyczny Opery Warszawskiej, z zastaloną śpiewaczką na czele, nie zasługuje na skromne chociaż podziękowanie za swą ciężką pracę, że leniwa publiczność wychodzi w pośpiechu, nie klaszcząc prawie wcale? Nie chodzi już o jakiś specjalny entuzjazm, ale o przyzwyczajony stosunek do artystów.

Wanda Bacciewiczówna

szłych, niepodległych Indii. Partia Kongresu (Hindusi, Ghandi) proklamują jedne Indie, licząc, iż one, jako element ilościowy przeważający, opanują całe życie i zmajoryzują resztę. Liga Muzułmańska, bojąc się właśnie takiej majoryzacji, postuluje utworzenie zupełnie niezależnego i odrębnego państwa muzułmańskiego „Pakistanu“. W takim stanie rzeczy, wobec rozszczepienia ludności miejscowej, Anglicy mieli (i mają) zadanie ułatwione. Po tamtej wojnie Indie otrzymały obietnicę pełnej niezależności. Obietnicę niezrealizowano po dziś dzień. W roku 1935 tak zwanym „Aktem Indii“ nadano Indiom pewne uprawnienia do minimalne, czyniąc tym krok na drodze do ich usamodzielnienia. W roku 1940 lord Linlithgow, obiecał Indiom pełną niepodległość po zakończeniu wojny. W roku 1942 Sir Cripps powtórzył tę obietnicę.

Wypadki w Indiach Holenderskich ostrzegły prawdopodobnie rząd brytyjski, iż tym razem nie należy dłużej zwlekać. Wysłano do Indii propozycję Rządu Jego Królewskiej Mości. Misja Brytyjska w dniu 26 marca br. rozpoczęła rozmowy z przywódcami hinduskimi. W wyniku tych rozmów ogłoszona została 16 maja w New Delhi deklaracja, którą w Londynie nazwano „Białą Księgą“. Zasady opracowane w Białej Księdze uzyskały całkowitą aprobatę wszystkich reglujących i politycznych ugrupowań induskich, z wyjątkiem Ligi Muzułmańskiej, stojącej twardo na gruncie Pakistanu. „Biała Księga“ jest niepoślednim sukcesem Wielkiej Brytanii, gdyż w całej rozciągłości poparł ją sam Ghandi. Zawiera ona postulat utworzenia z Indii niezale-

żnej, kompletnie suwerennej Unii, obejmującej zarówno t. zw. Indie Brytyjskie, jak i państwa indyjskie. Unii podlegają sprawy polityki zagranicznej, obrony i komunikacji wraz ze specjalnymi pełnomocnictwami w dziedzinie finansów. Władze wykonawcze jak i ustawodawcze Unii będą tak skonstruowane, iż żadna ustawa tycząca zasadniczych zagadnień muzułmańskich nie będzie mogła przejść bez wyrażenia na nią zgody muzułmańskiej większości. Ma to na celu uspokojenie obaw muzułmanów przed majoryzacją przez hindusów. Unię tworzą Prowincje i Państwa Hinduskie, którym podlegają wszystkie sprawy nie zdecydowane na Unię.

Istotną częścią projektu jest organizacja utworzenia Zgromadzenia Konstytucyjnego. Członkowie Konstytuandy wybierani byłiby proporcjonalnie do ilości mieszkańców przez cztery główne okręgi: Państwo Hinduskie, okręg Muzułmański (Muslim), okręg Sikh, i okręg t. zw. Ogólny. Ogólna liczba posłów wynosiłaby 385, z czego 210 przypadałoby na okręg „ogólny“, 93 na Państwo Hinduskie, 78 na Muslim, 4 na Sikh.

Mimo, iż Liga Muzułmańska jeszcze wnosi szereg zasadniczych obiekcyj — rząd brytyjski nie traci nadziei, iż indyjski rząd tymczasowy zostanie już wkrótce utworzony; i że w rządzie tym wszystkie teki łącznie z teką ministra wojny będą w rękach przywódców hinduskich cieszących się pełnym zaufaniem narodu.

Premier Atlee wyraził nadzieję, iż Niepodległe Indie będą chciały pozostać w ramach Imperium, jako jego Dominium.

Wydaje się, iż sprawa Indii doszła do swego ostatecznego rozstrzygnięcia. Historia dominiów powtarza się. Po tej wojnie, jak po tamtej, powstają nowe dominia. A właściwie powstaje jedno — Indie. Znając talent brytyjskiej dyplomacji wierzymy, iż nadzieja wyrażona przez premiera Atleego nie skończy się na czczych słowach. Indie zapewne dobrowolnie zostaną w Imperium. I będą miały rację.

Równie konsekwentnie (w myśl jakiejś linii politycznej, której my możemy się tylko domyślać) postępuje rząd brytyjski w Egipcie. Zapadła i została zakomunikowana publicznie decyzja wycofania wojsk brytyjskich z Egiptu. Jest to posunięcie nadzwyczaj rozsądne. Wojska brytyjskie nie będą w Egipcie, ale będą wszędzie naokoło Egiptu. Ich pozycja strategiczna nie ulegnie przez to osłabieniu, a pozycja moralna ulegnie wzmocnieniu. Egipt będzie musiał prowadzić politykę zagraniczną taką, jak będzie chciał tego Londyn, ale równocześnie żołnierz brytyjski nie będzie demerwował ludności egipskiej i psuł samym swym widokiem pracy dyplomatów. Na tym właśnie polega ta sztuka rządzenia narodami, w której brytyjczycy celują.

Oba posunięcia Anglii, w sprawę Indii i w sprawę Egiptu, mają po pierwsze na celu uspokojenie wzburzonego świata ludów bliskiego i dalekiego wschodu.

Odpowiedź Anglii jest wyraźna, jasna i niedwuznaczna. A jej spryt polityczny, nie pozwalający nigdy na doprowadzenie sprawy do największego zaognienia i nasilenia, nakazał szukać wobec Indii i świata arabskiego pewnego kompromisu, który umiejętnie i konsekwentnie zrealizowany, może nie tylko wygasić ogniska zapalne, ale z wrogów uczynić przyjaciół.

Jeżeli ocenić te fakty na tle ostatnich wiadomości o zamierzeniach arabskich państw, to łatwo zrozumiemy, iż Wielka Brytania musi koniecznie spacyfikować w krótkim czasie stosunki panujące na wschodzie. Jej zręczne a jednocześnie bardzo radykalne posunięcia, jakich dokonała, wskazują na jakieś przegrupowanie sił przed jakąś nową ofensywą, lub defensywą, polityczno-dyplomatyczną, w skali światowej.

Zobaczmy.

K. Kk.

## Program Ingresu

J. E. Ks. Kardynała

Program uroczystości ingresu J. E. Księża Kardynała Augusta Hlonda Prymasa Polski, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Warszawskiego do prokatedralnego kościoła Wniebowzięcia N. M. P. i św. Józefa Oblubieńca w Warszawie.

1. Zbiórka przedstawicieli parafii i organizacji i Warszawy i prowincji o godz. 16-tej. Wszyscy muszą być punktualnie, ponieważ o godz. 16,30 zostanie odśpiewana wspólnie Litania do Matki Boskiej i „Pod Twoją Obronę“.

2. W kolejności przybycia ustawiają się:

a. młodzież ze szkół powszechnych dookoła Placu Zamkowego od ul. Piwnej w stronę świętojańskiego do ruin Wieży Zegarowej Zamku.

b. młodzież żeńska szkół średnich — od wylotu ul. Miodowej do wylotu Senatorskiej i Podwale do Piwnej.

c. młodzież męska szkół średnich — od wylotu ul. Miodowej do wylotu Senatorskiej i Podwale.

d. organizacje młodzieżowe (Harcerstwo itp.) na Placu Zamkowym od ruin Wieży Zegarowej do Wieży Bernardyńskiej.

e. młodzież akademicka tworzy szpalier od wieży Bernardyńskiej do kościoła św. Anny i wewnątrz kruchty.

f. reprezentacje parafii wzdłuż ul. Krak. Przedmieście od Miodowej do Trebackiej i od kościoła św. Anny aż do

kościoła św. Józefa i pomnika Mickiewicza.

g. Sodalicje Mariąskie, Archikonfraternia Literacka, Caritas, Zarząd Cmentarzy — na placu przy kościele prokatedralnym po stronie Prezydium Rady Ministrów.

3. Samochód Jego Eminencji zatrzyma się na Placu Zamkowym. Jego Eminencja wyszedszy z samochodu zostanie powitany przez młodzież szkolną (krótkie przemówienie).

4. Jego Eminencja obszedłszy szeregi młodzieży szkolnej naokoło Placu Zamkowego, przejdzie ul. Krak. Przedmieście do kościoła Akademickiego św. Anny. Naprzeciw wirydarza kościoła powitają Jego Eminencję akademicy.

5. W drzwiach kościoła akademickiego powita Jego Eminencję duchowieństwo.

6. Po przywzianiu szat pontyfikalnych Jego Eminencja wyjdzie na ulicę.

7. Jego Eminencja iść będzie wśród szpalierów wiernych. Przed szpalierami ustawiają się dziewczęta w bieli, które przy przejściu Jego Eminencji sypać będą kwiaty w stronę przechodzącego Arcybiskupa.

8. Po przejściu procesji wszyscy zebrani pozostają na swoim miejscu.

9. Wejście do kościoła prokatedralnego dla osób z poza duchowieństwa i zakonów tylko za osobnymi kartami wstępu.

10. Uprasza się o zachowanie porządku oraz stosowanie się do zarządzeń Księży Ceremoniarzy.

## Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

### SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA ZACHODZIE

Znakomity teoretyk spółdzielczości Bernard Lavergue opublikował na łamach „Le Monde” artykuł na temat przejęcia przez spółdzielczość znacjonalizowanych przedsiębiorstw.

Do niedawna — pisze Lavergue — spółdzielczość oparta o wzór pionierów z Rochdale oraz o koncepcję Karola Gide obejmowała przede wszystkim handel detaliczny. Jednakże od 1860 r. w Belgii, a 1902 r. w Anglii spółdzielczość zaczęła opanowywać poszczególne dziedziny wielkiego przemysłu jak kopalnie węgla, przemysł elektryfikacyjny, koleje itp.

Spółdzielnia w pojęciu autora jest to stowarzyszenie o zmiennym kapitale, i składzie osobowym, w którym zwyczajnie większość posiadająca prawa publicznego (państwo, samorząd), a mniejszość stanowią grupy zawodowe lub grupy osób prywatnych.

Spółdzielnia jest wyposażona w aurytety prawa publicznego, jednakże czynności publiczne nie powinny mieć większego wpływu na kierownictwo spółdzielni aniżeli akcjonariusze prywatnego przedsiębiorstwa na kierownictwo tegoż. W całkowitej niezależności pod względem administracyjnym i finansowym widzi autor najważniejszą i najbardziej istotną cechę spółdzielczości.

Zarówno swoboda w dysponowaniu zyskami jak i brak pomocy finansowej ze strony kogokolwiek, w przypadku powstania deficytu, zapewnia pełną i efektywną autonomię zarządu.

Spółdzielczość w pojęciu autora ma charakter wybitnie antyetatystyczny. Autor podkreśla, że spółdzielczość łączy korzyści wynikające z kapitalistycznej organizacji produkcji ze służbą dla dobra ogółu.

Następnie autor daje szereg przykładów doskonałego funkcjonowania instytucji spółdzielczych w Belgii, Francji i Anglii.

W Belgii wymienia: Crédit Communal de Belgique, która posiadała pod koniec 1941 r. 11.300.000 wkładów, postawionych do dyspozycji samorządom: Société Nationale des Chemins de Fer Vicineux (gminnych), które wybudowało 5314 km torów kolejowych; następnie liczne spółki wodne i budowlane.

We Francji specjalny charakter mają dwie spółdzielnie: Compagnie Nationale du Rhone i l'Energie Electrique de la moyenne Dordogne. Zadaniem tych spółdzielni jest wykorzystanie siły napędowej rzek. Zapory są już na ukończeniu i umożliwiają uruchomienie bardzo znacznych sił. Udziałowcami są: miasto Paryż, 14 departamentów, większość samorządów z doliny Rhone, towarzystwo kolejowe PLM i w końcu stowarzyszenia przyszłych użytkowników energii elektrycznej.

Na terenie Anglii autor wymienia następujące spółdzielnie: London Passenger Transport Board, która w 1935 r. przewiozła 3,4 mld. pasażerów i wyczerpała obligacji na sumę 11 miliardów franków Poincarégo; spółdzielnie portowe w Londynie i Liverpoolu oraz spółdzielnie rozdzielu wody i elektryczności.

W zakończeniu omawianego artykułu autor konkluduje, że 4 instytucje kredytowe upaństwowione na mocy dekretu z 2.XII.45 r. oraz kopalnie węgla powinny być skooperatywizowane. Zdaniem autora znacznie lepsze rezultaty osiągnie się przez ich kooperatyzyzację aniżeli przez oddanie zarządu nad nimi państwu. W szczególności we Francji, gdzie wpływy polityczne oddziaływały na przedsiębiorstwa państwowe — skarb państwa jest pociągany do pokrywania znacznych deficytów tych przedsiębiorstw. Rozwiązanie problemu przedsiębiorczości publicznej autor widzi jedynie w spółdzielczości, ta bowiem służy narodowi i zachowuje doskonałość techniczną ustrojów kapitalistycznych.

### FRANCJA POWOJENNA WOBEC ZAGADNIENIA IMIGRACJI

Kryzys ludnościowy, ciężący nad Francją od dziesięciu lat, pogłębił się, zaostrzył i skomplikował w obecnym okresie powojennym. Jeśli chodzi o najbliższą przyszłość, wzrost zapotrzebowania na siły robocze, wynikający z rozmiarów programu odbudowy, zbiega się fatalnie z uszczupleniem możliwości rekrutowania robotników cudzoziemskich; jeśli chodzi o plany na dalszą metę, dotychczasowe doświadczenia, w pierwszym rzędzie niepowodzenie wysiłków asymilowania rzesz imigranckich zmuszają do gruntownej rewizji dotychczasowej polityki imigracyjnej. W jakim kierunku zmierzają te próby, rewizji? Artykuł, który niedawno temu ukazał się na ten temat w naryskim „Le Monde”, stanowi ciekawą ilustrację tendencji, zarysowujących się w powojennej Francji w stosunku do problemów imigracji.

Na wstępie autor stwierdza, że do obecnej pory imigracja była organizowana przez prywatne zrzeszenia, natomiast nigdy nie stanowiła obiektu świadomej i celowej akcji, obejmującej całokształt zagadnienia. O ujemnych rezultatach,

do których doprowadziły tego rodzaju nieskoordynowane wysiłki, świadczy najlepiej fakt, że przed wojną tyle było mowy o „problemie” cudzoziemców we Francji. Jakże elementy składały się na tę istotnie wielostronną i skomplikowaną problematykę, wynikającą z obecności we Francji setek tysięcy ludzi obcego pochodzenia?

Wystarczy wymienić najważniejsze: powstawanie skupisk obcej ludności, nie ulegających asymilacji nie tylko etnicznej i socjalnej, ale nawet politycznej (Włosi w okresie faszystów); infiltracja do handlu i zawodów inteligentnych, które bez tego były przepaiste; wysoki odsetek, przypadający na cudzoziemców w statystyce chorób i przestępczości; wreszcie wzrost ksenofobii, fatalnie zaturawiającej francuską psychikę narodową. Nic dziwnego, że obecny rząd francuski nie ośmielił wyciągnąć stąd konsekwencji i nie potraktował imigrację jako problem państwowy, tak pod względem ekonomicznym, jak i w całym tego słowa znaczeniu — socjalnym. Koordynacja wszelkich, poczyniła na tym polu jest jednym z głównych zadań podsekretariatu stanu dla spraw ludnościowych, któremu podlega specjalny urząd imigracyjny.

Na okres najbliższy z natury rzeczy najważniejszą rolę odgrywają względy gospodarcze. Aktywna zawodowo ludność Francji, stojąca przed olbrzymim zadaniem odbudowy szkół wojennych, jest liczebnie uszczuplona i wyczerpana. Czynniki pracy reprezentuje w tych warunkach pozycję deficytową w planie produkcyjnym, do czego dołącza się nadto spadek wydajności pracy z braku odpowiedniego ekwipunku technicznego. Można by stąd wyciągnąć konkluzję, że skoro znaczenie kluczowe w dziele odbudowy posiada rekonstrukcja urządzeń produkcyjnych, zagadnienie polega nie tyle na ilości robotników, co na poziomie ich technicznego wykształcenia.

Fakt, że nawet teraz nie wszyscy robotnicy francuscy są zatrudnieni, zdawalby się również przemawiać przeciwko tezie o wielkim ilościowym zapotrzebowaniu na siły robocze. Mimo to francuski Komisarz Planowania, jak również Ministerstwo Pracy zgodnie przewidują konieczność dodatkowego zasilenia kraju dwoma milionami robotników. Ta ocena w zestawieniu ze wspomnianym faktem bezrobocia tylko na pierwszy rzut oka wygłąda paradoksalnie. Bezrobocie jest tylko objawem przejściowym, wynikającym z masowej demobilizacji, a również odrywania sił z administracji publicznej. Z drugiej strony wchłonięcie 2 milionów sił roboczych przez francuski rynek pracy także nie jest oczywiście kwestią najbliższej przyszłości. Muszą wprawdzie powstać warunki wykorzystania tak wielkiej armii robotniczej dla produkcji. Te warunki będą się jednak stopniowo realizować w miarę tego, jak będzie postępować przezwyciężanie najważniejszej zapory na drodze pełnego uruchomienia potencjału przemysłowego, mianowicie niedoboru w dziedzinie gospodarki energetycznej.

Strona gospodarcza nie wyczerpuje jednak całego zagadnienia imigracji. „Le Monde” przypomina nie tylko znany powszechnie spadek urodzin, ale także groźbę, jaką dla dynamiki społeczeństwa przedstawia powiększający się odsetek starców, a tym samym wzrastające obciążenie aktywnej zawodowo części ludności kosztami utrzymywania części już nie produktywnej. Gdy w Rosji jedna osoba w wieku powyżej 60 lat przypada na 16 mieszkańców, we Francji odnośny stosunek wygłąda jak 1 na 7. W tej sytuacji nie wystarczy już sama akcja wspomaganiania licznych rodzin. Francja potrzebuje poprostu transfuzji krwi. Na

to, by jedynie zapobiec dalszemu pogarszaniu się struktury ludności, t. zn. przesuwaniu się relacji na niekorzyść młodszych, aktywnych elementów, trzeba Francję w ciągu najbliższych lat zasilić dopływem z zewnątrz w siłę 5 milionów ludzi. Znamiennym jest objaw do jakiego stopnia postuluje polityki demograficznej pokrywają się w danym przypadku z wymogami gospodarki. Dwa miliony cudzoziemskich sił roboczych, potrzebnych do dzwignięcia francuskiej produkcji, to prawie wyłącznie mężczyźni, którzy w przeważającej większości niewątpliwie przybędą do Francji ze swymi rodzinami. Tą drogą dojdziemy zatem również do cyfry 5 milionów.

Z chwilą jednak, gdy imigracja nie ma być tylko środkiem realizacji pewnych gospodarczych zamierzeń, lecz ma służyć do regeneracji biologicznej starzejącego się społeczeństwa, cała sprawa przesuwa się na szerszą platformę. Przy selekcji sił roboczych podyktowanej jedynie względami ekonomicznymi, można się ograniczyć do kontroli pod kątem widzenia minimalnych wymogów zawodowych i sanitarnych. Gdy natomiast chodzi o wymienione już, dalsze cele, dobór musi być znacznie surowszy, musi być oparty również na kryteriach etnicznych, duchowych, moralnych.

Tego rodzaju zaostrzona selekcja, teoretycznie uzasadniona, jest jednak w obecnych warunkach szczególnie trudna do przeprowadzenia. Powód tkwi w zmianie, która nastąpiła w układzie stosunków na światowym rynku pracy. Jeśli chodzi o popyt, Francja musi się liczyć ze współzawodnictwem ze strony krajów młodych, takich, jak Australia i Argentyna, których ogromne możliwości produkcyjne leżą odłogiem z braku ludzi. Jeśli chodzi o podaż, zmniejszenie jej jest jednym z najbardziej uderzających objawów epoki powojennej. Kraje europejskie w przeważającej większości stoją przed tym samym zadaniem, co Francja, mianowicie przed odbudową wojennych zniszczeń, zachowują więc swą ludność u siebie, a nawet, jak Polska, którą dzień przykładowo cytuję, wzywają do powrotu swych obywateli, przebywających na obczyźnie. W Europie dzisiejszej pozostały już tylko dwa wielkie zbiorniki ludzkie, z których będzie można czerpać: Włochy i Niemcy.

Układ, zawarty z Włochami przez Francję, przewiduje przybycie w najbliższym czasie 20.000 robotników włoskich. W ślad za tą partią podąża dalsze. Niezależnie od tego rodzaju grup, przybywających tylko w celu otrzymania czasowego zatrudnienia, Francja przyjmie również pewną ilość Włochów w charakterze i. migrantów w ścisłym tego słowa znaczeniu, t. zn. pozwoli im na stałe osiedlenie się. Włosi będą nawet stanowić przeważną część kontyngentu imigrantów, przewidzianego na rok 1946 w wysokości 30.000 ludzi.

Jeśli chodzi o Niemców, przebywających oni we Francji w liczbie 700.000 jako jeńcy wojenni. Z biegiem czasu zostaną oni jednak niewątpliwie zastąpieni przez zawodowych robotników przemysłowych, rząd francuski traktuje bowiem dostarczanie robotników przez Niemcy na równi z dostawami maszyn i surowców, jako świadczenia z tytułu reparacji i żąda ich kontynuowania, dopóki wszystkie szkody wojenne nie zostaną odrobione.

Rząd francuski liczy ponadto na zwrobowanie części uchodźców i deportowanych, przebywających w łącznej liczbie 63.000 osób we francuskiej strefie okupacyjnej. W końcu rozważa się transfer pewnej kategorii ludności, który stanowiłby zarazem ciekawy przykład imigracji o charakterze czysto demograficznym. Chodzi mianowicie o sprowadzenie do Francji dzieci porzuconych ze stosunków między Niemkami a Francuzami, przebywającymi w Niemczech w charakterze jeńców wojennych lub deportowa-

nych. Francja pozyskała by w ten sposób element, który wprowadziłby dopiero w dalekiej przyszłości mógłby odegrać rolę produkcyjną, ale który z drugiej strony przedstawiałyby tę korzyść, że niewątpliwie łatwo dałby się zasymilować w środowisku francuskim.

Autor artykułu sygnalizuje interesującą wiadomość, jakoby kole fachowe zwróciły uwagę podsekretariatu stanu dla spraw ludnościowych na możliwość imigracji... z Niemiec. Powyższa sugestia opiera się na zmianach, jakie zaszły w stosunkach ludnościowych w Niemczech. Wskutek przesuwania się ludności ze wschodnich terenów dawnej Rzeszy na zachodnie przeciętna gęstość zaludnienia w Niemczech wzrosła z 140 na 200 mieszkańców na 1 km. kw. Trudności aprowizacyjne, bezrobocie i zmiana środowiska, to wszystko czynniki, sprzyjające roztrójowi socjalnemu i politycznemu. Prędzej czy później mocarstwa okupacyjne będą musiały rozważyć ewentualność rozprawienia tego nadmiaru ludności. Na razie jednak nie wykazują chęci otwarcia wrót emigrantom z Niemiec. Jeśli chodzi o rząd francuski, to zbyt świeże są jeszcze wspomnienia minionego okresu, by mógł tego rodzaju ewentualność brać w rachubę.

Niezależnie od imigracji zorganizowanej i masowej Francja chętnie będzie widziała imigrację indywidualną, która zaoszczędza władzom troski o transport, wyżywienie i pomieszczenie cudzoziemców. Zakres jej będzie jednak dość skromny a uprawiać ją będą głównie Włosi i Belgowie, którzy mają krewnych, osiadłych już we Francji, oraz rolnicy holenderscy.

Po dokonaniu selekcji wśród imigrantów i po rozdzieleniu ich między poszczególne okręgi oraz zawody przyjdzie kolej na fazę następną, mianowicie fazę asymilacji. Wypowiedzi autora na ten temat zasługują na uwagę ze względu na kompletną szczerość, rzucającą światło na wiele objawów, które zwłaszcza my, Polacy, przykro odczuwamy we Francji. Przede wszystkim autor zarzuca zaniedbanie zagadnienia asymilacji przez przedwojenne rządy francuskie. Na to, by asymilacja stała się trwałym osiągnięciem, muszą być zapewnione warunki trojakiego rodzaju:

1. materialne, zwłaszcza mieszkaniowe;
2. moralne i psychologiczne. Z jednej strony należy tu zwalczanie ośrodków, podtrzymujących poczucie odrębności, w pierwszym rzędzie konsulatów, duchowieństwa i nauczycielstwa. Autor przypomina zwłaszcza wspomniany już na początku przykład Włoch faszystowskich, dla których emigracja stanowiła przede wszystkim narzędzie ekspansji imperialistycznej. Z drugiej strony należy w drodze akcji informacyjnej przeciwdziałać szerszeniu się wśród Francuzów ksenofobii, której zresztą, zdaniem autora, dotychczasowa nieskoordynowana polityka imigracyjna dostarczała aż nadto pretekstów.
3. prawne w postaci większego udostępnienia naturalizacji.

Rozporządzenie z 2 listopada 1945 r. stworzyło nową kategorię imigrantów t. zw. „prezydentów uprzywilejowanych”, t. zn. osiadłych we Francji cudzoziemców, korzystających z większych praw, niż inni obcokrajowcy. Obecnie opracowuje się nowelizację tego rozporządzenia w kierunku ułatwienia warunków uzyskania takich praw, a zwłaszcza lepszego zabezpieczenia obcokrajowców przed wydaleniem z Francji w drodze administracyjnej. Pozostaną jednak w mocy ograniczenia, przewidujące, że cudzoziemiec, zwierzbowany do Francji w celu pełnienia określonej funkcji, nie będzie mógł przez szereg lat korzystać ze swobody wyboru zatrudnienia. Francja potrzebuje sił roboczych dla podstawowych działów produkcji, natomiast odpływ imigrantów z zajęć, polegających na pracy fizycznej do zawodów wyzwolonych i do handlu zwiększyłby tylko przepalenie, jakie w tych gałęziach już panuje.

Naturalnym zakończeniem procesu asymilacyjnego jest uzyskanie obywatelstwa francuskiego. Opracowywany obecnie projekt ustawy przewiduje nadawanie obywatelstwa skróconym trybie. O potrzebie zmian w tym kierunku świadczy najlepiej fakt, że w roku 1945 na 200.000 podań o przyznanie obywatelstwa tylko 5.000 załatwiono przychylnie. Obecnie podsekretarz stanu dla spraw ludnościowych zapowiedział, że pierwszeństwo będzie przysługiwać cudzoziemcom, którzy jako ochotnicy, członkowie ruchu oporu, jeńcy wojenni bądź deportowani dzielili dolę i niedolę swej przybranej ojczyzny.

P.

## NOWY MIESIĘCZNIK KATOLICKI

W Krakowie ukaże się w najbliższym czasie nowy miesięcznik pod redakcją ks. Konstantego Michalskiego —

# „ZNAK”

Miesięcznik ten będzie miał za zadanie wypełnianie zasadniczej luki, istniejącej w publicystyce współczesnej — jaką jest brak poważnych i gruntownych opracowań aktualnych problemów społecznych, filozoficznych i kulturalnych z punktu widzenia katolickiego. Zapewniwszy sobie współpracę pierwszorzędnym pisarzy katolickich, m. in. prof. J. Feldman, prof. S. Świeżawski, J. Zawieyski, red. J. Turowicz, będzie w stanie wnieść do publicystyki nową, żywą, oryginalną problematykę.

Koszt pojedynczego numeru, zawierającego 32 strony — 35 zł. Prenumeraty już w chwili obecnej można zgłaszać na tymczasowy adres redakcji: Kraków, Topolowa 16 m. 6.

### Subskrypcja

**Pożyczki Odbudowy obowiązkim każdego obywatela!**

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartałna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia” Widok 24

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska 3-5